№ 48. Warszawa, dnia 15 (27) Listopada 1875 roku.



TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

Z DODATKIEM ILLUSTROWANYM UBRAŃ I ROBÓT KOBIECYCH,

Prenumerata wynosi: w WARSZAWIE kwartalnie rs. 1 kop. 80.—Z przesyłką pocztową w Cesarstwie i Królestwie, kwartalnie rs. 2 k. 50. Numer pojedynczy k. 15.—w POZNANIU prenumerować można w księgarni Leitgebera;—w KRAKOWIE przesyłając należytość do A. Nowoleckiego w wydawnictwie Czytelni ludowéj lub wprost do Redakcyi w Warszawie. Przedpłata dla GALICYI z przesyłką pocztową kwartalnie złr. 4. W KRAKOWIE złr. 3. Listy i przesyłki pieniężne adresować prosimy Do J. K. GREGOROWICZA w Warszawie, przy ulicy Elektoralnej Nr 779 (nowy 41).

Pierwsze Eidyllion*) Teokryta

wierszem miarowym

PRZEŁOŻYŁ

L. Szczerbowicz-Wieczór.

Tyrsys (Owczarz). Miłe szeleści, koziarzu,
owa sosenka nad zdrojem,
słodką jest dla mnie fujarka,
pieniem gdy dźwięczy twojem.
Pierwsza nagroda dla Pana,
tyś po nim drugi jest snadnie:
jemu kozieł rogaty,
dla cię zaś koza przypadnie.
On gdy kozy zapragnie —
ciebie koźlątko to czeka,
młode, pulchne i ładne,
zanim dorośnie do mleka.

Koziarz. Twoja piosenka, owczarzu,
ucho przyjemniej mi pieści
niźli woda ze skały,
tam co spadając szeleści.
Muzom ja dałbym owieczkę,
pienia gdy zechcą nagrody;
tobie przypadnie baranek
w stajni chowany i młody;
albo dla ciebie owieczka,
muzom baranek gdy miły.

Tyrsys. Zacznij grać, o koziarzu:
tu oto wzgórek pochyły.
Zacznij, zaklinam na nimfy,
tutaj usiadłszy na trawie;
ja zaś z twemi kozami
tam się opodal zabawię.

Koziarz. Teraz południe, owczarzu,
boję się, grać się nie godzi:
Pan tu gdzie może spoczywa—
z łowów wróciwszy, się chłodzi.
My się go bardzo boimy:
Gniewu on nigdy nie wstrzyma,
zawsze ponury i groźny,
złość mu wciąż nozdrza rozdyma.
Ale bo sam ty piosenkę
umiesz, Tyrsysie, piać cudną—
tę o cierpieniach Dafnisa—
ciebie przewyższyć w tem trudno.
Siądźmy na ławce pasterskiej —
wiąz ją olbrzymi ocienia —
tam, gdzie Amora i Najad
stoją posągi z kamienia.
Są tu i dęby opodal.
Toć tu niedawno w zawody
szedłeś z Chromisem libijskim.
Możesz być pewnym nagrody,
gdy mi tak samo zaśpiewasz:
kozę po trzykroć dój moją,
dwoje bliźniątek mającą—
sam ja po dwakroć ją doję.
Mam i pucharek głęboki,
woskiem pachnącym wylany,
nowy, z dwoma uszkami,
rzeźbą ozdobny, drewniany.
W koło brzegów się wije
bluszcz, przeplatany kwiatem
nieśmiertelnika złotego,
bluszczu owoce zaś na tem.
Wewnątrz cudny obrazek—
boska zapewne to praca—
w płaszczu z przepaską niewiasta:
Ku niej dwóch mężczyzn obraca
wzrok ognisty napróżno,
pomiędzy sobą spór wiodą:
oba gorąco kochają,
dziewę posiadać chcą młodą.
Walczą o nią napróżno:
ona się zimno wciąż śmieje;
ona nie kocha, choć wzrokiem
daje obydwom nadzieję.
Zewnątrz puchara obrazek:
rybak, staruszek zgrzybiały,
dźwiga sieć do połowu,
pnąc się na strome skały.
Rzekłbyś: zmęczony i siwy
zkąd do rybactwa ma siły?
Ale się przypatrz tym kształtom:
mięśnie się jak naprężyły!
Co to za kark potężny!
Jeszcze mu niech pozazdrości
młody niejeden staremu
siły i takiej rześkości.

Nieco opodal obrazek
inny znów oko zachwyca:
dojrzałemi gronami
tam się rumieni winnica.
Obok, usiadłszy u płotu,
strzeże jej mały chłopczyna;
dwa zaś lisy opodal.
Jeden już kraść rozpoczyna —
zjada grona dojrzałe —
drugi podstępnie się kręci
koło kobiałki z jedzeniem—
zamiar zdradziecki go nęci.
Zda się mówić: bez skutku,
ztąd nie odejdę, kochanie!
Ciebie na czczo zostawię,
sam zjem twoje śniadanie.
Chłopczyk na nic nie zważa,
ani domyśla się zdrady;

*) Używany zwykle wyraz „idylla“ jest skaleczeniem greckiej nazwy; miano zaś „sielanka“ nie jest odpowiedniem gdyż *obrazki rodzajowe* (jakiemi właśnie są greckie eidyllia) malują nie tylko sceny sielskie; nazwa „skotopaski,“ sztuczna i niesmaczna, również nie wystarcza gdyż i byt pasterski nie jest równie jak i sielski, jedynym przedmiotem utworów tego rodzaju. W eidylliach Teokryta znajdujemy i obrazki z obyczajów miejskich, opisy świąt i uroczystości, sceny czarnoksięztwa i t. d. Woleliśmy przeto zachować nazwę grecką.

z wodnych łodyg z sitowiem
splata sieć na owady,
gron i kobiałki nie widzi,
dumny ze swojej roboty.
Dalej, po całej powierzchni
akast owija się złoty.
Takie to cudne jest dzieło—
rozkosz dla ducha i oka,
lśniące cacko prawdziwe.
Cenaż bo jego wysoka!
Majtek tu był z Kalydonu —
on mi ten puchar wspaniały
sprzedał: oddałem mu kozę,
osła i duży ser biały!
Jeszczem go do ust nie przytknął,
nieużywany spoczywa;
tobie go jednak darować —
dla mnie przyjemność prawdziwa.
Chętnie ci nim się przysłużę,
moje gdy spełnisz żądanie —
pieśń upragnioną zaśpiewasz.
Mówię nie żartem, kochanie.
Nuże, zaczynaj, nie dróż się!
Po co się z pieśnią tak kryjesz?
Bóstwa podziemne są głuche,
ludzi baw, póki tu żyjesz.

Tyrsys (Śpiew o zgonie Dafnisa).
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
Tyrsys, pasterz elejski,
w obec was śpiewać zamierza.
Głos mój przyjemnym nazwano.
Gdzieżeście wtedy wy były,
Gdzie były wtedy i nimfy,
Dafnis gdy konał miły?
Czy to w dolinie Penejskiej?
Czy to na Pindu wyżynie?
Tu bo was u nas nie było,
Anap szeroki gdzie płynie.
Etna was też nie widziała,
ani Akisa wybrzeża.
Śpiewem, o muzy kochane,
Śpiewem kierujcie pasterza!
Wilki go opłakiwały;
Po nim płakały szakale;
lew, z dąbrowy wyszedłszy,
łzami wyrażał swe żale.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
Leżał Dafnis, konając
z płaczem dzikiego zwierza.
U nóg jego szlochały
woły też liczne i byki;
cieląt i młodych jałówek
żałośne brzmiały tam ryki.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
Bożek Hermes nadbiega —
ojciec Dafnisa — i rzecze:
,,Synu, co cię tak męczy?
,,Kogo tak kochasz człowiecze?
Śpiewem o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
Biegną pastusi, koziarze,
owczarz też każdy doń zmierza.
Co mu jest? — wszyscy pytają;
Pan sam nawet nań woła:
,,nie schnij, biedny Dafnisie!
,,Dziewczę twe biega dokoła:
,,wszystkie obchodzi strumyki,
,,gaje nóżkami przemierza...
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Ciebie to szuka, niezdaro!
,,Sobie kto radzić nie umie —
,,to nie pasterz: w koziarzy
,,niechaj ukrywa się tłumie.
,,Koziarz gdy widzi, jak młode
,,kózki po polu skaczą,
,,kozłem że nie jest, żałuje —
,,oczy mu same płaczą.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Tak i ty też płaczesz,
,,serce ci silniej uderza,
,,widząc, jak tańczą bez ciebie
,,uśmiechnięte dziewoje.
Dafnis milczał na wszystko.
Siły wytężał on swoje,
łamiąc się z siłą miłości;
bóle, jak może, uśmierza.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
Przystąpiła pogodna
Cyprys, bogini miłości;
rzekła: tyś się zaklinał,
,,że przezwyciężysz Amora!
,,On cię teraz zwycięża —
,,jego nadeszła pora.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
Dafnis jej na to odpowie:
,,wielkiż to tryumf ci czyni,
,,o Cyprydo okrutna,
,,sroga dla ludzi bogini!
,,Myślisz, że już nie zobaczę
,,nigdy pięknego słońca?
,,Będę ja wrogiem Amora
,,nawet po śmierci, bez końca...
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Wszakci to pasterz—wieść niesie—
,,nawet posiadał Cyprydę...
,,Ruszaj do Anchizesa —
pomiędzy dęby, pod Idę!
,,Tam ci będzie wygodniej —
,,tu tylko trawka i ziółka,
,,tutaj w roju wesoło
pobrzękuje nam pszczółka.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Dobrym był dla cię Adonis —
,,piękny myśliwy i młody:
,,on zające ścigał,
,,ale też pasał i trzody.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Pójdźno jeszcze pod Troję,
,,do Dyomedesa rycerza!
,,Powiedz mu: przedtem mi z tobą
,,niezbyt się dobrze udało;
,,dziś — zwyciężyłam Dafnisa,
,,staję do walki śmiało.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Żegnam was, leśne niedźwiedzie,
,,żegnam was, wilki, szakale!
,,Ani w dąbrowie, ni w gaju
,,już nie ukażę się wcale.
,,Żegnam cię, o Aretuso!
,,Nie ma Dafnisa na świecie!
,,Żegnam was, czyste strumyki,
,,które z Tymbrydy płyniecie!
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Dafnis, co woły tu pasał,
,,dziś oto nędznie tu ginie,
,,Dafnis, co woły, jałówki,
,,poił tu niegdyś w gęstwinie.
Śpiewem, o muzy kochane,
śpiewem kierujcie pasterza!
,,Panie, bożku pasterzy,
,,gdzie przebywasz w tej chwili?
,,Opuść wyżyny Lykaiu,
,,zbliż się do wyspy Sycyli!
,,Opuść swe miłe siedlisko —
,,święte Menalu góry;
,,opuść skały Heliki —
,,grób Arkasa ponury,
,,wnuka Lykaonowego —
,,grób podziwiany przez bogi.
Pójdźcie, o muzy, już pójdźcie
pieśń doprowadźcie do końca!
,,Weź mą fujarkę, o królu,
,,mnie gdy spotyka zgon srogi —
,,piękną, woskiem wylaną,
,,pieśnią miodową płynącą.
,,Mnie już w otchłanie Hadesa
,,Eros okrutny strąca.
Pójdźcie, o muzy, już pójdźcie,
pieśń doprowadźcie do końca!
,,Wszystko niech wspak się przewróci—
,,Dafnis już konać zaczyna:
,,cyprys narcyzy niech rodzi,
,,fiołki—cierń i jeżyna;
,,gruszki niech rosną na sosnach,
,,psa niech ścigają jelenie,
,,niech ze słowiczem w zawody
,,idzie puchaczów pienie.
Pójdźcie, o muzy, już pójdźcie,
pieśń doprowadźcie do końca!
Rzekłszy to, umarł Dafnis.
Afrodyta się skłania
wskrzesić go, ale napróżno —
wszystkie daremne starania.
Parki wyroku nie zmienią:
już go z pluskiem ukryły
Acherontu głębinie.
Muzom i nimfom miły
Dafnis zakończył już życie,
bólem miłości złamane.
Pójdźcie już pieśni dokończyć,
pójdźcie, o muzy kochane!
Ty zaś daj tu puharek,
daj niech kozę wydoję:
mleko będzie libacyą —
uczczę nią muzy swoje.
Chwała stokrotna wam, muzy!
Dla was jedynie me pienia.
Słodko mi na cześć waszą
do ostatniego piać tchnienia.

Koziarz. Słodziej ty śpiewasz, Tyrsysie,
od polnego konika:
karmiłbym ciebie figami,
które nam rodzi Attyka —
ejgilskiemi, słodkiemi...
Miód oby usta twe ssały!
Bierz, przyjacielu, ten kubek!
Patrz, co za zapach wspaniały!
Rzekłbyś, że wdzięczne Hory
same go w zdroju płukały.
Pójdź tutaj, kózko Kisseto!
Teraz wydoisz ją snadnie.
Ej, wy koźlęta, nie skaczcie!
Kozieł wnet na was napadnie.

ŚWIAT SERDECZNY

POWIEŚĆ

przez

Waleryą Marrené (Morzkowską).

(Dalszy ciąg).

A jeśli rysy jej straciły coś z pierwotnej delikatności, jeśli niedyskretne zmarszczki przebijały niekiedy zwycięzko zapory mąki i mastyków, jakie im stawiano; jeśli czasem krucze brwi zbaczały z linji właściwej i wbrew symetryi wkraczały w obce dziedziny, wszystko to można było przebaczyć dla nieporównanego wdzięku, z jakim stara zalotnica umiała do każdego przemawiać i każdego przeszywać grotami wyzywających spojrzeń.

Toaleta jej nawet, nie trzymająca się ślepo przykazań mody, fantastyczna, przypominająca cyrk, w którym jak utrzymywały złe języki, pani baronowa odbierała pierwsze wychowanie, zastosowana była umiejętnie do rodzaju piękności w ten sposób, by uwydatnić to co istniało, a zręcznie pokryć braki i niedobory, zrządzone nieubłaganym trybem czasu.

I tak ponieważ baronowa von Schmuc była niewielkiego wzrostu, nosiła na głowie prawdziwe piramidy, i na ich ozdobę nie szczędziła ładnych złocistych śpilek, grzebyczków, wstążek i t. p. Baronowa miała śliczne, pulchne ramiona, więc zimą i latem, nosiła koronkowe lub muślinowe szmizetki, podnosząc białość łona aksamitką, medalionem, lub kwiatem stosownie umieszczonym. Zresztą jak zwykle kobiety które z powołania starają się zwrócić oczy, lubiła jaskrawe kolory i ekscentryczne toalety, a mody które jej się podobały przesadzała do karykatury. Byle uważała że jej w czem do twarzy, nie pytała o więcej.

Nikt naturalnie nie uczynił jej nigdy niedyskretnego pytania, co do wieku jaki mieć mogła, przecież ona sama, szanując prawdopodobieństwo, przyznawała się do lat trzydziestu kilku. Miała bowiem lat piętnaście (tak mówiła przynajmniej) gdy przyszedł na świat Sygfryd, a ponieważ młody baron miał brodę i wąsy, trudno mu więc było dać mniej nad lat dwadzieścia. Niektórzy jednak utrzymywali, że to błogie statu quo wieku matki i syna, trwało już od lat kilkunastu.

Nie wszystko jednak co ludzie o baronowej twierdzili było prawdą. I tak prócz gustu w ubraniu, nie miała ona nic wspólnego z cyrkiem, był to wyraźnie wymysł złośliwych. A za najlepszy dowód służyć mogło to, że konno jeździła niegodziwie, zresztą byli tacy, którzy znali ją w Warszawie, jako córkę nie zbyt zamożnego urzędnika. Cały jej majątek stanowiła niepospolita piękność, ta jednak nie doprowadziła jej do zbyt świetnych rezultatów, skoro dzisiaj zmuszona była wraz z synem wyzyskiwać umierającego starca.

Podobno już nieboszczyk baron podupadły hulaka, spekulował na urodę swojej żony, nie zostawił też w jej sercu zbyt czułego wspomnienia. Ta kobieta nieopatrzna i lekkomyślna jak motyl, nigdy nie zastanowiła się nad jutrem, i rozrzucając jedną ręką to co drugą zbierała, żyła ciągle pomiędzy zbytkiem a niedostatkiem, nie umiejąc ani znieść ubóstwa, ani się od niego zabezpieczyć.

Starość zaskoczyła ją przypadkiem, a zresztą czyż ona mogła być starą? W myśli jej i sercu trwało zawsze lat szesnaście. Czas mijał, przybywało jej tuszy, zmarszczki poczęły rysować się na twarzy, włos mienił się siwizną, ona zawsze w gruncie rzeczy była tą samą dzieweczką, wybierającą się na pierwszy bal z bijącem sercem, mierzącą dnie, miesiące i lata liczbą wielbicieli.

W wielbicielach nie przebierała nigdy, miała to szczęśliwe usposobienie, iż każden komu się ona podobała, podobał jej się nawzajem. Nie była więc wcale okrutną, nikogo nie przyprowadziła do rozpaczy i nie miała na sumieniu niczyjego samobójstwa. Ale za to nie umiała zgoła sterować swoją łodzią i potrzebowała nieustannie kierunku i przewodnika, chociaż przewodnik ten nieraz zawadzał jej okropnie. Dawniej był nim mąż, teraz te trudne obowiązki spadły na syna, w którego ręku była tylko posłusznem narzędziem.

Drobiński był to jej bardzo dawny znajomy i wielbiciel, jeszcze za panieńskich czasów. Wtedy, był on zbyt ubogim by osiągnąć rękę dziewczyny, marzącej że swoją twarzyczką może zdobyć sobie nawet królewską koronę. Jakie były następne ich stosunki, czy spotykali się kiedy? Jedno i drugie zachowało pod tym względem milczenie. Na początku jeszcze choroby Drobińskiego zjechała do niego pod pozorem porady w interesach, sama jedna bez Sygfryda i tak dobrze umiała zbudzić z popiołów niepamięci dawne uczucia, iż niebawem stała się samowładną panią w domu starego bogacza. I kto wie do czego byłoby doszło, gdyby przybycie syna nie wywołało w nim znowu uśpionej ostrożności. Przybycie to było ważnym błędem pod względem taktyki, błędem jednak koniecznym z powodu niezaradczości baronowej, która sama nigdy i w niczem rady sobie dać nie umiała.

Ze zwykłą też lekkomyślnością przeceniła swój wpływ i nie obrachowała podejrzliwego charakteru swego wielbiciela. Uważała go za rozkochanego starca a jako piękna kobieta sądziła się w prawie wodzić na pasku: zapomniała tylko że kiedy on się zestarzał, czas dla niej nie stał na miejscu, i że od czasu kiedy Drobiński odgrywał przy niej rolę nieszczęśliwego konkurenta, zmieniły się zupełnie zewnętrzne okoliczności, on się wzbogacił ona zubożała, dzisiaj więc on był panem położenia a ona służebnicą zależną od jego łaski.

Baronowa jednak nie badała tak głęboko swojej towarzyskiej pozycyi, przywykła żyć cudzym kosztem, dopóki miała toalety wygody i zbytki, nie pytała o więcej i była zupełnie zadowoloną ze swego losu.

Teraz chociaż spoglądał na nią jedynie blady księżyc żeglujący cicho po błękitach, pani von Schmuc siedziała rozparta w kabryolecie, w pozie pełnej wyszukanego wdzięku; falbany jasnej sukni spływały na koła okryte kurzem i rosą, a pąsowy burnus zarzucony na ramiona walał się aż na ziemi długiemi końcami. Kobieta jednak nie raczyła na to zwrócić uwagi, jak zwykle ci którym wszystko przychodzi lekko bez pracy, nie umiała szanować rzeczy nie znając ich rzeczywistej wartości. Jeśli powalała suknię należało to do jej garderobiannej; jeśli ją podarła, sprawienie nowej tyczyło się wielbicieli, ją samą nie obchodziło to przecież ani trochę.

Dla tego też nieskończone ogony jej sukien, wlokły się po wszystkich drogach i chodnikach, a gdy falbany wycierały koła kabryoletów, ona ze wspaniałą niedbałością nie zwracała na to uwagi. Na wpół zwrócona ku dworkowi Złociców, spoglądała teraz niecierpliwie na syna co ścinając chwasty szpicrózgą nie śpieszył wcale z powrotem.

Baronowa poprawiła ze zwyczaju maleńki kapelusik okrywający zaledwie czubek jej warkoczy, z pod których wymykała się prawdziwa kaskada włosów spuszczonych na ramiona *à l'enfant*. Odgarnęła zgrabnie pąsowe pióra mieszające się z niemi w wdzięcznym nieładzie i kiwając ręką uzbrojoną nieodstępnym wachlarzem, zawołała pieszczonym głosem:

— Sygfryd! Sygfryd!

Młody baron z widoczną niechęcią podszedł do kabryoletu.

— I czegoż mama chce, spytał opryskliwie po niemiecku, gdyż zwykle między sobą używali tego języka i szczycili się oboje wielkiemi stosunkami zagranicznemi. Dla czego jednak siedzieli tutaj na łasce cudzej zamiast zająć w ojczyźnie barona wysokie stanowisko, do którego zaręczali iż mają prawo, trudno było odgadnąć.

— Czy jest tutaj stary? spytała, nie krępując się wcale w nieobecności wielbiciela czułemi frazesami, jakiemi obdarzała go w oczy.

— A jest! jest — mruknął Sygfryd.

— I długoż tu będziem czekać na drodze?

— Przecież przyjechaliśmy tu żeby go zabrać.

— No tak, to idź do mieszkania tego Złocica.

— A przecież rozmawiałem z nim przed chwilą, nie poprosił mnie nawet na ganek.

— Zapewne nie wiedział kto jesteś.

— Tak, nie wiedział, kiedym go sam objaśnił że ja i mama czekamy tutaj na Drobińskiego.

— I cóż?

— Jak mama widzi, zamknął mi drzwi przed nosem.

— Impertynent! zawołała baronowa, gotowa rozpłakać się i brać niebo na świadki niesłusznie wyrządzonej sobie krzywdy.

Nie pojmowała jakoś nigdy dokładnie za co ją świat potępiał? To co czyniła zdawało jej się rzeczą tak naturalną, iż musiała uważać ją także za zupełnie niewinną: zmysł moralny nie istniał w niej wcale.

Sygfryd milczał; jeśli nie podzielał on zapatrywania się matki na tę drażliwą kwestyę, posiadał za to olbrzymią dozę bezczelności; wyrzucony oknem, z najzimniejszą krwią gotów był powrócić drzwiami notabene jeśli nie zastraszyło go jakie groźne oblicze, jak to miało miejsce przed dworkiem. Obejście Złocica było bowiem tego rodzaju, iż zbrakło mu odwagi powtórnie spojrzeć mu w oczy, bo ponieważ miał pewien instynktowy spryt zwykły u tego rodzaju ludzi, obrachował dokładnie że to by się na nie wiele przydało.

Był więc trawiony tym skrytym gniewem, który nie mogąc wybuchnąć pożera wnętrze człowieka gdziekolwiek szukając sobie ofiary.

Baronowa jednak nie pojęła tego wcale.

— To idź jeszcze raz, wywołaj Drobińskiego.

Syn rzucił na matkę zjadliwe spojrzenie.

— Niech mama sama sprobuje to uczynić, odparł cynicznie, ten Złocic to czysty dyabeł wcielony. W grubej kapocie a patrzy na ludzi z góry. Nie ma co mówić stary wpadł w śliczne ręce, już ja czuję że nam ten spacer pewno nie wyjdzie na dobre, przypłacimy go całym spadkiem. A prosiłem mamy, mówiłem że tego przeklętego dziada pilnować trzeba, ale mama zawsze swoje.

Przestrach i zły humor syna podziałał na baronowę, przecież nie tracąc otuchy probowała go uspokoić.

— Nie turbuj się, wyrzekła, już ja to wszystko odrobię.

— Mamie się zdaje że to rzecz łatwa, mama zawsze myśli że ma lat dwadzieścia, mruknął ruszając ramionami, a tu z każdym dniem trudniej. Jak wypuścimy z ręki tego starego, to się z pewnością drugi taki głupi nie znajdzie i trzeba będzie pójść z torbami. Codzień to mamie powtarzam a dla tego mama nie mogła dosiedzieć i dopilnować go przez godzinkę.

— Zostawiłam przecież Marcina na straży, obiecał że go nie puści.

— Już ja Marcinowi kości połamię, odparł miłosiernie Sygfryd, ale dla tego co się stało to się nie odstanie, niby to mama nie wie że w tym dworze Drobińskim, wszyscy są przeciwko nam.

— Prawdziwie Sygfrydzie, zawołała obcierając oczy baronowa, świat jest bardzo zły dla nas, bo i cóż my komu złego robiemy.

Sygfryd tymczasem gryzł gałkę szpicrózgi, nie zadając sobie pracy odpowiadać na próżne słowa matki; myśl jego zajęta była nierównie ważniejszym problematem niż mniemana niesprawiedliwość świata, a mianowicie owa konferencya odbywająca się w jego oczach w dworku Złocica. Czuł bowiem doskonale że nie wypadnie wcale na jego korzyść.

— I nie módz temu przeszkodzić! wybuchnął uderzając nogą o ziemię w bezsilnej wściekłości. Ja mamie tego nigdy nie daruję!

Gniew syna którego się bardzo lękała nadał inny powód łzom baronowej, obcierała je przecież starannie z obawy by nie popsuły symetryi rumieńców.

— Tu nie ma czego płakać, mówił dalej Sygfryd, tu radzić potrzeba.

— Uczynię jak chcesz.

— I i... co mama zrobi, przecież od czasu jak siedzimy w Drobinie, nie potrafiła mama nawet wymódz testamentu, a niechby stary dzisiaj umarł, to coby było?

— O mój Boże! wierz że tu ludziom, dawniej przysięgał, obiecywał, wszystko co miał chciał słać mi pod nogi — dzisiaj...

— To też tak było dawniej, odparł syn złośliwie, a teraz już tak nie będzie, trzeba było korzystać póki pora, ale mama to zawsze na przyszłość się ogląda, jak gdyby nie wiedziała o latach: dobrze durzyć drugich, tylko siebie to się na nic nie zda.

— Sygfrydzie, zawołała oburzona tem nieustannem przypominaniem nienawistnego wieku Sygfrydzie, przecież wszyscy oddają mi sprawiedliwość, przyznają że jestem piękna, tak samo jak dawniej.

Syn wzruszył tylko ramionami, jakby na urągowisko wdziękom matczynym.

— Mama bo każdemu wierzy, byle kto ładne słówko powiedział. A ludzie w oczy gadają co im się podoba a potem się śmieją. Gdyby to była prawda, nie potrzebowalibyśmy siedzieć w Drobinie.

— A cóż to w Drobinie złego?

Sygfryd słysząc to naiwne pytanie spojrzał na matkę z wyraźną pogardą.

— Jak komu, odrzekł z dumą odbijającą bardzo komicznie przy zdaniach które wygłaszał i dwuznacznemu stanowisku jakie zajmował; co do mnie wcale nie znajduję bym tam był na swojem właściwem miejscu.

Można było wprawdzie zapytać gdzie było właściwe miejsce młodego barona von Schmuc, ale matka przekonana o wysokich przymiotach i urodzeniu jedynaka nie rzuciła podobnej kwestyi, a on sam nie potrzebował tłomaczyć się przed sobą. Zapewne mówiąc to miał na myśli owych wielkich dygnitarzy niemieckiego państwa von Schmuców, z któremi jak głosił tak blizko był spokrewniony, zapewne myślał że i on także stworzonym był co najmniej na szambelana lub ministra i że temu powołaniu potrafiłby podołać. Zapewne ubolewał nad niesprawiedliwością losów, co obdarzając go znakomitem nazwiskiem, znakomitemi przymiotami umysłu i ciała, nie dały mu odpowiedniego pola działalności i jako jedyną spuściznę po wielkich przodkach, zostawiły mu tylko czczy tytuł i szumnie brzmiące imię.

Wprawdzie ojciec Sygfryda zostawił arcy smutne wspomnienie u tych wszystkich którzy go znali; ubogi, pyszny i żądny użycia nie cofnął się przed żadnym środkiem osiągnięcia bogactw, które z każdą chwilą roztapiały mu się w ręku. A jeśli dzięki zręczności potrafił uniknąć sprawiedliwości ludzkiej, jeśli nie spotkał się ani z kodeksem karnym ani z sądem kryminalnym, nie mniej na pamięci jego ciążyły skazy niczem nie zmyte.

Pomimo to Sygfryd z dobrą czy ze złą wiarą, lubił pysznić się ojcem, bo pysznić się zawsze czemś musiał, tak dalece że nawet jakiś zagraniczny order pozostały po nim, zawiesił przy dewizkach od zegarka i ze znaczącym uśmiechem poruszał przed oczyma ludzkiemi, ilekroć się ku temu nadarzyła sposobność.

Ponieważ jednak pozycya jaką zajmował wraz z matką w domu Drobińskiego była tego rodzaju, że nie pomagała mu wcale do zawiązywania jakichbądź stosunków, a chwalić się potrzebował koniecznie, nie długo służba miejscowa a nawet żyd pachciarz i wędrowni kramarze uwiadomieni zostali o wielkości rodu baronów von Schmuców w ogólności i Sygfryda von Schmuc po szczególe, jako też o obszernej genealogji tej znakomitej familji.

A co dziwniejsza, że to niearystokratyczne grono słuchaczów, wprawdzie słuchało opowiadań Sygfryda otwierając wielkie oczy, po cichu jednak śmiało się że tak wielcy panowie odgrywają w Drobinie tak niezaszczytną rolę.

Pomiędzy matką a synem kłótnie zdarzały się dość często, że jednak zazwyczaj używali do nich niemieckiego języka, treści rozmów podobnych służba domyśliła się jedynie z podniesionych głosów i łez baronowej, która była nadzwyczaj czułego usposobienia.

I teraz sprzeczka zaczynała przybierać tem większe rozmiary, że tak jedna jak druga strona była rozdrażniona daremnem oczekiwaniem, gdyż właśnie powóz Drobińskiego zatoczył się przed ganek dworku, wewnątrz zrobił się ruch jakiś i niebawem wyszedł Złocic wraz ze swoim gościem, pomógł mu wsiąść do powozu i zamieniwszy jeszcze słów parę, których ciekawi Schmucowie dosłyszeć nie mogli, wszedł napowrót na ganek.

Konie ruszyły kłusem a Drobiński zasunął się w głąb poduszek okrywając się starannie od wieczornego chłodu. Zaledwie jednak ujechał parę kroków usłyszał niespodzianie głos baronowej, wołający na furmana by się zatrzymał.

Powóz właśnie na szerokiej, piaszczystej drodze zrównał się z kabryoletem, starzec zwrócił głowę i nagle uderzyła go postać niewieścia w całym wdzięku zaniedbanej postawy, oblana srebrnemi promieniami księżyca w mglistym pół cieniu wieczornym, piękna jak wspomnienie młodości, jak pierwsze sny i pragnienia.

Przez chwilę spoglądał na nią w milczeniu, osłupieniu. Nie pytał zkąd wzięła się tutaj, zapomniał może iż baronowa von Schmuc bawiła z synem w domu jego, ona była teraz tylko dawną Laurą, jedyną miłością tego oschłego serca, jedynym jasnym promieniem minionego życia.

Każden człowiek prawie nawet najwięcej zbrudzony i sponiewierany ma w głębi ducha jakąś tajemniczą oazę, której nikt nie domyśla się istnienia; ztamtąd płyną niespodziane postanowienia, uczynki zadające nieraz kłam całemu istnieniu, tam chronią się wygnane uczucia i zapomniane od dawna budzą się w danej chwili na męczarnie lub ubłogosławienie bytu. Głębia człowieka jest niezbadana, i najczęściej nieznana jemu samemu.

Drobiński ujrzawszy niespodzianie na drodze swojej baronowę, wyciągnął ku niej drżące ręce, ruchem pełnym pragnienia i zachwytu. W tej chwili można było sądzić iż posiadała nad nim nieograniczoną władzę, iż mogła wszystkiego żądać i wszystko otrzymać. Tak rzeczywiście było przez minutę, przez krótką minutę, póki nie przemówiła i sama nie rozwiała wątku pamiątek.

— Ach! panie Salezy, panie Salezy, zawołała uradowana sprawionym wrażeniem, jakżeż można — wbrew przepisom doktora — byliśmy bardzo niespokojni z Sygfrydem — udaliśmy się w pogoń.

Nie można było dobrać niezręczniejszych wyrazów, baronowa jakby naumyślnie potwierdzała każdem słowem podejrzenia które stary bogacz wyznał przed chwilą Złocicowi. Zresztą nie była to tak bardzo jej wina, nie mogła wcale zrozumieć własnego położenia, ani tego że pomiędzy Laurą stanowiącą najsłodszy obraz przeszłości Drobińskiego a panią von Schmuc istniała przepaść, że co chwila druga psuła wrażenie uczynioną przez pierwszą.

Biedna baronowa nie obdarzona wcale subtelnym zmysłem analizy, nie pojmowała dualizmu własnej osoby. Ztąd to właśnie pochodziła jej niemoc. I teraz słowa jej nie sprawiły wcale pożądanego skutku, płomień zapalający się w oczach starca zagasł, drżące ręce opadły na kolana.

— Niepotrzebnieście się trudzili, odparł głosem, w którym przebijało się szyderstwo: zakaz doktora nie był tak surowym jak się wam zdawało, a ja czuję się lepiej po tej przejażdżce.

— Ależ po nocy, po rosie, nalegała baronowa, przywiozłam panu Salezemu futro na nogi, oh! bo ja myślę o wszystkiem.

— A ja ciepłą czapeczkę, wtrącił Sygfryd, zbliżając się ze zwykłą swobodą do powozu, chociaż Drobiński powitał go kwaśno protekcyonalną miną.

— I ten szal na piersi, dodała kobieta.

A łącząc uczynek do słów, wyskoczyła z kabryoletu, który przechylił się mocno pod jej stopami, baronowa bowiem miała tylko moralne powinowactwo z sylfidą, chociaż lubiła nadawać sobie jej pozory, i wszedłszy do powozu, okrywała starannie starego wielbiciela z nieporównaną troskliwością istot, czyhających na sukcesyę, co im się z prawa nie należy.

Drobiński pozwolił się otulać do woli, wskazał miejsce obok siebie pięknej Laurze, Sygfrydowi radził wracać kabryoletem, i położywszy głowę na białem ramieniu baronowej, która z czarującym uśmiechem spoglądała na niego kazał się wieść do domu.

Kobieta chciała skorzystać z tego słodkiego sam na sam by wydobyć ze swego wielbiciela tajemnicę tej wycieczki, jednak na pierwsze zapytanie stary zamknął oczy i tak dobrze udał senne znużenie, iż niepodobna było mu przeszkadzać, bez podania w wątpliwość tej troskliwości o jego zdrowie, jaką przy każdej sposobności szczycić się lubiła.

Pani Schmuc zacisnęła wargi i jechała w milczeniu, rozmyślając co to wszystko znaczyć miało, oraz jak wyjść zwycięzko z położenia co wprawdzie przeciągało się w sposób dość dla niej przyjemny, ale nie zapewniało jak dotąd żadnej przyszłości.

A tymczasem Drobiński wspierał siwą schorowaną głowę na ramieniu pięknej pani i marzył o tem wszystkiem co minęło niepowrotnie. Jak kiedyś będąc młodym, rzucił się w świat otwarty, jak kiedyś na rozdrożu życia, tam gdzie rozchodzą się ścieżki ludzkie, zaświeciła mu twarz dziewczyny zalotnicy, i zwodne oczy obiecujące to wszystko, czego nigdy dotrzymać nie mogły.

Takie spotkania bywają stanowcze. Kto wie jaką wybrałby drogę, kto wie gdzie byłby zaszedł? Czyby się nie był zminął z gościńcem uczciwości, gdyby nie ta twarz — nie te oczy. Bo i czegóż one żądały? Złota, bogactwa, błyskotek, tego samego co i dzisiaj. One zapanowały nad jego życiem. Przyjął ich wiarę, ich bogi i służył im wiernie do ostatniej chwili.

Czy jednak wybór ten był trafny? Po raz pierwszy może, wątpliwość ta zrodziła się w myśli nieużytego bogacza. Dostał wszystko to czego zażądał a jednak suma zadowolenia osiągnięta w życiu nie zdawała mu się dostateczną w stosunku poniesionych trudów.

Z dworku Złocica z krótkiej z nim rozmowy, wywoził niewyraźne poczucie, że innym sposobem mógł być stokroć szczęśliwszy. Bóstwo jego było bóstwem fałszywem i zaprowadziło go na manowce, zkąd nie czas było się wracać.

Więc to za czem on gonił całe życie, co zdobył kosztem wszystkich większych i szlachetnych uczuć, krzywdą ludzką i zgłuszeniem sumienia, miało tylko wartość względną, wartość nie istniejącą nawet dla niektórych. Wszak Złocic odrzucił ofiarę zapisu wielkiego majątku bez namysłu i walki żadnej, nie domyślając się że spełnia czyn niezwykły, odrzucił jako rzecz, bez której obchodził się zawsze bez bólu. A przecież jego zacne, pogodne oblicze, mówiło o spokoju myśli; o zadowoleniu serca i umysłu.

Drobiński czuł dobrze iż Złocic posiadał wiele rzeczy, których brakło jemu, panu milijonowej fortuny. Nie zazdrościł mu jednak, fakta te nie sformułowały się na to dość wyraźnie jego w pojęciu, tylko chociaż kołysany na ramieniu baronowej, myślał o przeszłości z goryczą, a z trwogą o obecności.

(*d. c. n.*)

Przegląd literacki.

Poezye S***

Poznań, drukiem J. I. Kraszewskiego, 1875 r.

Są ludzie, i ja znam takich, którzy twierdzą iż w dzisiejszych czasach materyalnego postępu a zarazem i moralnego upadku, prawdziwa poezya, ów czysty, samodzielny polot ducha, istnieć nie może. Od najpierwszej młodości myśl ludzka skrępowana formułkową rutyną karłowacieje w ograniczonym światku drobiazgowych dążeń, zachceń i działań, niezdołając nigdy wybić się w wyższym polocie po nad ziemski kał, i dosięgnąć eterycznej krainy natchnienia. Poeta bowiem, mówią oni, czerpie swe wrażenia z otaczających go źródeł, gdy zaś źródła te są mętne i pełne kału, czyliż podobna mu jest odzwierciadlić w nich obrazy jasne, przejrzyste, bijące światłością nadziemską? Zdania jednak powyższego nie podzielałem nigdy; iskra natchnienia jest w nas samych — to dar Boży, dar wyłączny dany nie wielu wybranym, ale nie zależny bynajmniej od postronnych okoliczności. Wprawdzie w obecnych czasach w których walka o byt materyalny do ostateczných posunięta granic przytłumiła porywy ducha, poezya hołdując ogólnemu prądowi zstąpiła ze swego piedestału, i zanurzywszy skraj białej swej szaty w ziemskim kale, straciła wiele z czystych namaszczeniem pierwiastków; to jednakże nie przeszkadza iż ten którego Bóg obdarzył poetycznem natchnieniem potrafi zawsze, nawet nie wznosząc się nad poziom codziennego życia, zdobyć dla siebie uznanie. Pan S. należy do liczby wybranych: stygmat pomazańca tkwi na jego czole; jeżeli jednak miasto tworzyć obrazy barwne, szkliste, tęczowe, anatomizuje ze skalpelem w ręku rany społeczne, to już nie jest winą braku talentu ale wynikiem własnej jego woli. Pan S. boleje nad tem co widzi do koła siebie, maluje czarnemi farbami ale wiernie upadek ludzkości, biada nad znikczemnieniem najczystszej części istoty człowieka, ale nie staje się nigdy lekarzem duchowym zaradzającym złemu. W poglądach jego jakaś mimowolna dążność metafizyczna, zaciemnia obraz już i tak ponury; każdy wczytawszy się w te pełne poetycznej grozy ustępy, w których zda się widzieć ohydne katusze konających, czuć woń trupiej zgniliżny, słyszeć szmer robaków pełznących z przegniłych ciał, woła mimowolnie: światła nam dajcie! słońca! eteru! lecz głos jego milknie zgłuszony jękami boleści. Pieśni pana S. są krzykiem ogromnej rozpaczy: krzyk to potężny, rozdzierający duszę, ale nie orzeźwiający zaschłej cierpieniem piersi kropelką miłości, nie sprowadzający z zakrytych ciągle złowrogiemi chmurami niebios promyka nadziei. Czci on i kocha Boga jako stworzenie, jako człowiek, jako Chrześcijanin; ale czasami zdaje się iż w przedwiecznym Panu świata, widzi niezbłaganego Jehowę, nie zaś Ojca dobroci i nieograniczonego miłosierdzia. Arfa wieszcza której struny poruszone tchnieniem chwilowego wrażenia, niby prądem eolskiego wiatru, wydaje pod jego dłonią rozmaite dźwięki: głosy te raz jęczą zwątpieniem jak w ustępie „Z Życia“, raz znowu brzmią akordem, który zdaje się być wykradzionym z tajników serca ludzkiego jak np. w poemacie „Widziadła“. Gdy myśl poety wskaże nam wśród ciemni daleki blask odkupienia, gdy w tym chaosie ujemnych pierwiastków odtworzy choć jeden dodatni obraz, rymy jego zawsze pełne, jędrne i silne, nabieraja dziwnego uroku, niezrównanej potęgi, rzadkiej barwności; takie zwroty widzimy w „Satyrze“, kiedy przedstawiwszy umysł mędrca pychą ziemską zatruty, mówi:

Niegdyś w godzinę strasznej ciemnoty
Na świat tonący we łzach i sromie,
Spadły dwa słowa z krzyża Golgoty
I światło w bożym błysnęło domie...

Leć myśli chyża! tam twoje wzory;
Bo na tych wielkich łanach ludzkości
Wszystko schnie marnie oprócz miłości,
Nic nie rozkwita—oprócz pokory.

albo trochę dalej:

Błogosławiony, kto w bratnie łona
Żywotne tylko rzuca nasiona!
Kto piersią swoją nadzieje stwarza,
Muzyką bozką zaklina burze
Kto w płótnie uczci świętość ołtarza,
I szczytność tylko rzeźbi w marmurze!

Lecz biada temu czyje natchnienie
W piersiach pokrewnych szerzy zniszczenie!
Kto serca bliźnich żądzą rozpala
Kto wiarę ludu w gruzy obala!
Kto z braćmi dzieli zgrzytania swoje,
Walkę, upadek i niepokoje!

W poemacie „Z Życia“ znowu pan S. anatomizując ze straszną zapamiętałością upadek wszelkich moralnych czynników społeczeństwa, pozbywa się dobrowolnie pryzmatu piękna; miasto światłego promienia wiary w przyszłość, są tam jakieś poniekąd niezrozumiałe dążenia metafizyczne, jakiś nieokreślony prąd wiejący w kierunku wstecznym odpowiednio do idei Chrześcijańskiej. Myśl czytelnika zagrążając się w tę otchłań znikczemnienia, szuka zielonej oazy nadziei — napróżno! wszędzie przesyt, zbłąkanie lub rozpacz. Czemżeby jednakże był ów znakomity pod względem formy, języka i zwrotów mowy poemat, gdyby autor miasto tryumfu złego nad dobrem, chichotu obłąkanych i radości czartów, jednem słowem chaosu:

w którym się sprzęga
Do celu ogromnego: nauka, potęga
Pióro wieszcza, praca gminu a nawet *szał płochy*

wskazał nam w epilogu jako jedyny cel życia, godło odkupienia naszych błędów—krzyż!

Najsłabszym z urywków zawartych w dwóch tomikach poezyi pana S. jest bez zaprzeczenia utwór p. t. „Fragment powieści“. Wprawdzie i tu znać rękę silną, mistrzowskie obrobienie, a nadewszystko prawdę, ową prawdę wyjętą z życia; ale przekonanie nasze iż nizkie, plugawe pierwiastki nie są zdolne nawet pod piórem tak utalentowanego wierszopisarza jakim jest pan S., wytworzyć sympatycznej całości, więcej jeszcze jak po przeczytaniu „Fragmentu z życia“ zostaje utrwalonem. Na dowód powyższego twierdzenia przytoczymy niektóre urywki wyjęte na chybił trafił z całości, okazujące iż pan S. obrawszy zbyt poziomy przedmiot do odtworzenia zmuszony był z umysłu naginać swą muzę do wyrażeń nie tylko prozaicznych, ale nawet częstokroć rażących brutalną trywialnością jak np.

Z panną był brat — złośliwe jak sto piorunów chłopiątko
Bohater nasz go znał... Największe to było *oślątko*,
Ze wszystkich małych *kpów*, co nauk u niego słuchali
I za to w jeden głos poetą go wielkim nazwali.

albo:

Deptał i klął, pokazując litującym się pięście
Nieznośny typ!... Mordujcie go, męczcie, krępujcie, więźcie
On wzniesie *łeb* i w oczy wam bluźnie wzgardą *niegrzecznie*...
Dajcie mu cały świat, do rydwanu bogi mu *wprzężcie* (za-
[pewne wprzęźcie)
Walka zapadnie w głąb — aż rozsadzi pierś ostatecznie.

Niestosownem także nam się wydaje wmieszanie w poemat osobistości pana Kaszewskiego i nazwania go *nowożytnym Grekiem, sennym od trawienia klassyków*. Drobiazgowa ta zemsta skierowana na powszechnie ze swej bezstronności i głębokich poglądów znanego recenzenta, uszła by w ostatnim razie pospolitemu rymotwórcy, nigdy jednak przebaczoną być nie może tak uzdolnionemu poecie, za jakiego niezaprzeczenie pana S. uważamy.

Drogocenną perełką w wiązce obleczonych poetyczną formą myśli, składających całość dzieła, jest utwór p. t. „Widziadła“. We wspomnionej pieśni autor przedstawia nam całe życie człowieka począwszy od pierwszych objawów rozbudzonego umysłu, aż do kresów doczesnej pielgrzymki. Obrazki te ożywione ciepłem sercowem, szeregują się tam z psychologiczną prawdą i niewypowiedzianą pięknością słowa. Modlitwa z młodzieńczej wyrywająca się piersi, żądza bogactw, znaczenia, potęgi; chwile zwątpienia przeplatane odbłyskami nadziei — wszystko to płynie w kalejdoskopie widziadeł, jak płyną fale żywota ludzkiego: cicho, spokojnie, poważnie. Nadeszła godzina natchnienia, i młody wieszcz uchwycił za lutnię:

Pieśń lunęła strumieniem;—w jego modrej fali
Mknęły mary żywota w piorunowym pędzie;
Tłumy wrażeń kolejnych zbite w bratnim rzędzie,
Trumny wieków ubiegłych z okruchami stali—

A w końcu krzyż ogromny w niedościgłej dali,
Brylantami promieni strzelający wszędzie...

Potem miłość wionęła nań swym uroczym czarem, lecz za nią szedł przesyt i zniechęcenie:

Smutny, spojrzał za siebie: tam leciuchnym rojem
Wiły się marzeń lotnych różnobarwne smugi
I błędów ciężkich szereg nieprzejrzanie długi...

Przed nim — zasiane łzami, wyorane znojem
Czerniały role czynu pracy męzkiej bojem, —
A daleko, daleko — wyżyny zasługi...

I poszedł wieszcz drogą czynu, drogą powinności, duch jego dojrzał celu do którego dążyć winna ludzkość.... Na tym punkcie błąkający się umysł poety powinien był spocząć: droga czynu, powinności, oświecona promieniem poświęcenia jest tak wielką, tak wspaniałą, cel do którego prowadzi tak jasny i święty, że i karły nawet dotarłszy do tych kresów olbrzymieją; ale pragnąc wyolbrzymieć czynem, należy wyplenić z siebie aż do ostatniego źdźbła, zarodki pychy, niewiary, zniechęcenia. Jakiż bowiem jest wynik ciągłego szamotania się ducha na tym padole łez

i płaczu, gdy tenże stawiony na kresach ujrzy jako nagrodę swych znojów potworę zwątpienia zimną jak lód, twardą jak śpiż, nieczułą jak kamień? Gnanie po falach narodu, anatomizowanie ciał zmarłych, szukanie w szczątkach zbutwiałych, mikrokozmu życia, uważamy za cofnięcie się wstecz; kto albowiem raz dotknął swą stopą twardej drogi czynu, niepowinien nigdy z niej schodzić. Że proch trudu nie wyradza natychmiast owoców uznania, że prawdziwy talent, geniusz nawet, bywa niepojętym przez ogół, że wreszcie sława nie krzewi się nad czołami wybranych w laury rozgłosu, mamyż niby chciwe błyskotek dzieci, porzucić najświętsze zadanie życia naszego? Zaprawdę, najszlachetniejsze na pozór dążności nie znające czem jest poświęcenie, lecz kierowane jedynie żądzą nagrody, nie mogą mieć żadnej zasługi. Pan S. czuje to i rozumie: on w przebolałem swem łonie wypieścił ideał, ale ideał ów owiany mroźnym chłodem zwątpienia, zastyga, i przybija poetę niby nowożytnego Promoteusza do skały nieuchronnego fatalizmu.

Ludwik Niemojowski.

Pogadanka naukowa.

ELEKTRYCZNOŚĆ I ŻYCIE

(według Ferdynanda Papillon).

(Dokończenie).

Przejdźmy teraz do skutków jakie strumienie eletryczne wywierają na czynności ruchu i wrażliwości. Aldini siostrzeniec Galvani'ego pierwszy zaczął robić na ludziach podobne doświadczenia. Przekonany, że aby zbadać działanie elektryczności na organa, potrzeba posiadać zwłoki świeżo zmarłego człowieka, stawał pod rusztowaniem tuż obok kata aby odebrać zaraz od niego zakrwawione ciało, jedynie zdatne do doświadczeń.

W styczniu i w lutym 1802 r. dwóch zbrodniarzy zostało w Bolonji skazanych na ścięcie: na prośbę Aldini'ego władze rozkazały mu wydać ich ciała do naukowych jego doświadczeń. Trupy te, poddane działaniu elektryczności, tak niepojęty przedstawiły widok, że wielu obecnych chciało uciekać ze strachu. Wszystkie członki zaczęły gwałtowne wyprawiać ruchy; zdawało się że całe ciało pragnie powstać w celu zmartwychwstania. W kilka godzin po ścięciu, stawy i członki podlegały jeszcze elektrycznemu podbudzaniu.

Równie sławne są doświadczenia jakie Ure robił w Glasgowie na zwłokach zbrodniarza skazanego na powieszenie, który już blizko godzinę wisiał na szubienicy. Jeden z biegunów stosu o 270 parach połączony był z mleczem pacierzowym po nad karkiem a drugi biegun z piętą; noga od kolana do kostek była zgiętą, aż raptem wyprostowała się i rzuciła tak gwałtownie, iż o mało nie przewróciła jednego z pomocników. Zaledwie siłą powstrzymać zdołał te ruchy. Gdy jeden biegun dotykał siódmego żebra a drugi jednego z nerwów szyi, pierś podniosła się i opadała a żołądek poruszał się jak podczas oddychania. Skoro jednocześnie dotknięto pięty i nerwu powiekowego, mięśnie twarzy zaczęły się ściągać a na obliczu mordercy malowała się wściekłość, przerażenie, rozpacz i jakiś wstrętny uśmiech. Był to widok tak straszny że jeden z widzów zemdlał a kilku uciekło.

Nakoniec wywołano konwulsyjnie ruchy rąk i palców, tak iż zdawało się że trup wskazuje niektóre z obecnych osób.

Świeższe doświadczenia wykazały dokładny wpływ elektryczności na mięśnie. Prądy stałe, zastosowane bezpośrednio do tych organów, wywołują ściągnienie w chwili otwarcia i w czasie zamknięcia, ale najsilniejsze jest wstrząśnienie spowodowane zamknięciem. Dopokąd przechodzi strumień stały, mięśń zostaje w stanie pół skurczenia dającym fizyologistom powód do sporów. Prądy indukcyjne, powodują daleko silniejsze skurczenia, ale działalność ta trwa krótko, a w razie dłuższego elektryzowania przechodzi w martwe zesztywnienie. W takim razie skurczeniu mięśni towarzyszy miejscowe podniesienie temperatury, stosownie do mocy i trwania działania elektrycznego.

Jeźli się elektryzuje bezpośrednio mózg zwierzęcia następują zboczenia krwiobiegu (cyrkulacyjne) ale nie objawiają się żadne szczególne zjawiska. Zwierzę nie okazuje żadnych oznak boleści ani żadnych ruchów, tylko ogarnia je senność i jakieś jakby odurzenie. Wielu doktorów mniemało, że z pomocą elektryzacyi możnaby rozwijać i udoskonalać władze umysłowe, ale dotąd nic nie dozwala wierzyć żeby można tym sposobem oddziaływać korzystnie na myśl i intelligencyę. Przeciwnie przekonano się, że należy postępować nadzwyczaj ostrożnie w zastosowaniu elektryczności w okolicach mózgu, gdyż łatwo bardzo spowodować może szkodliwe zaburzenia.

Nakoniec elektryczność pobudza organa zmysłów. Zastosowana do błonki ocznej (retina) podbudza ją i powoduje świetlne wrażenia i olśnienie. Dochodząc do przyrządu słuchu, sprawia szczególny szum w uszach; w zetknięciu z językiem sprawia jakby uczucie metaliczne i ściągające.

Działanie elektryczności na rośliny mniej dokładnie jest zbadane, a dokonywane doświadczenia nie są ani dość liczne ani dość ścisłe. Wiadomo że powoduje zwijanie u różnych rodzai czułków, zwalnia krążenie soków w komórkach i t. d. Becquerel badał działanie elektryczności na rozrastanie i rozwój roślin, a nie dawno robił liczne doświadczenia odnoszące się do wpływu jaki elektryczność wywiera na barwę roślin. Z pomocą silnych wyładowań otrzymanych przez przyrządy pocierające, zauważył że następują dość znaczne zmiany barw, wynikające najczęściej z powodu poprzerywania komórek zawierających w sobie materyę zabarwiającą pączki. Materya ta pozbawiona swej komórkowatej obsłonki, niknie przez wymycie w wodzie, i kwiat staje się prawie zupełnie biały. P. Becquerel przekonał się także, iż w liściach przedstawiających dwa odmienne cienie, jak u begonji, ma miejsce jakby wzajemna zamiana i przenoszenie barw z jednej strony na drugą.

Wykazawszy pokrótce zjawiska objawiające się w zdrowym organizmie, przejdziemy do zjawisk będących cechą chorobliwości.

Elektro-terapia jest dziś jednym z najskuteczniejszych środków w medycynie, z warunkiem żeby zastosowywali ją biegli i doskonale z jej działaniem obznajmieni doktorzy. Lekarz pragnący posługiwać się skutecznie strumieniem elektrycznym, powinien być bardzo dobrym fizyologiem. W takich razach samo doświadczenie nie wystarcza — i często zarzucają nieskuteczność metodzie, tam gdzie raczej nieumiejętne jej zastosowanie winićby należało.

Od czasów Galvani'ego i Volty lekarze zastosowywali elektryczność stosu do leczenia wielu chorób, a w początkach tego wieku galwano-terapia tak wielkiego nabrała rozgłosu, iż uważano ją niemal za ogólne panaceum. Zawiązywały się *stowarzyszenia galwaniczne* w celu wydawania specyalnych dzieł i dzienników, których zadaniem było szerzyć i obznajmiać ludzi z niezliczonemi dobrodziejstwami jakie zawdzięczać mają galwano-terapji. Tak trwało przez czas dość długi, gdy w tem w r. 1832 odkrycie przez Faraday'a elektryczności indukcyjnej, zwróciło uwagę doktorów na zbawienne skutki płynu elektrycznego, i wywołało nowy szereg nader ciekawych doświadczeń. Szczęściem dla obu tych systemów, porzuciły one utarte koleje empiryzmu i przeniosły się na szerokie pole fizyologji doświadczalnej, która rozbierając dokładnie mechanizm skutków płynu elektrycznego na siły organizmu, nadała zastosowaniom terapeutycznym pewność, dokładność i skuteczność jaką dziś posiadają.

Strumienie indukcyjne, długo cieszyły się większem powodzeniem niż strumienie stosu które dały pierwszy początek elektro-terapji; dopiero w ostatnich latach strumienie stosu zajęły ważne stanowisko w fizyologji i w medycynie. Zmarły przed dziewięciu laty słynny fizyolog i anatom niemiecki, Remak, pierwszy wykazał ważne własności terapeutyczne strumieni stosu Volty. Po dwudziestoletnich przeszło uczonych badaniach i doświadczeniach, postanowił zbadać i wykazać metodycznie, działanie strumieni stałych na organizm. Po niejakim czasie doszedł do takiej wprawy w zastosowywaniu strumieni elektrycznych, iż w każdej chorobie niezwłocznie rozpoznawał do jakiego punktu należy stosować bieguny stosu. Do owego czasu, doktorzy trzymali się powszechnie zasady p. Duchenne i posługiwali się prądami indukcyjnemi, dopiero Remak wykazał iż tam gdzie one nie skutkują, można uciec się do prądów stałych.

Doświadczenia przekonały, że w pewnych warunkach strumienie elektryczne ścieśniają naczynia, a tem samem zwalniają napływ krwi w organach — a napływ taki czyli kongestye cechują bardzo wiele chorób. Do takich należą różne gorączki (delirium) i podrażnienia mózgowe oraz wszelkie hallucynacye, które zupełnie można wyleczyć, zastosowaniem do głowy strumieni elektrycznych. Żaden organ nie posiada tak zawikłanego i tak delikatnego ustroju naczyniowego, jak mózg, i żaden nie jest tak czułym na działanie przyczyn modyfikujących cyrkulacyę, i dla tego też cierpienia których siedliskiem jest móżdżek, najłatwiej dają się leczyć elektrycznością. Dobrze zastosowana elektryczność leczy także wszechwładnie wszelkie ataki mózgowe, migreny, bezsenność i t. p.

Pierwsi z lekarzy posługujących się strumieniami elektrycznemi, zrozumieli doskonale zbawienny wpływ płynu galwanicznego na wszelkie zaburzenia mózgowe, i myśleli nawet że należałoby zastosowywać ją do leczenia obłąkanych. Na nieszczęście nie dość zajmowano się doświadczeniami w tym kierunku, jednakowoż fakta ogłoszone przez Hiffelsheima nakazują wnosić, że leczenie elektrycznością mogłoby w takich razach być bardzo skuteczne. Ogłoszone fakta przekonywają że strumienie elektryczne, *ale tylko stałe*, będą mogły stać się nadzwyczaj zbawiennym środkiem w cierpieniach mózgowych — na co szczególniej winni zwrócić uwagę doktorzy poświęcający się leczeniu obłąkanych.

Dotąd uważano elektryczność za środek silnie pobudzający; da się to tylko powiedzieć o strumieniach przerywanych ale nigdy o strumieniach stałych, gdyż te nietylko nie są podbudzające, ale nawet jak twierdził Hiffelsheim, mogą, w pewnych warunkach, stać się kojącymi i uśmierzającymi.

Lecz lecząca siła elektryczności wykazuje się szczególniej w cierpieniach paralitycznych. Sparaliżowanie następuje zawsze wtedy jeźli nerwy ruchu oddzielone są od ośrodków nerwowych przez przyczyny traumatyczne lub zboczenia w utkaniu nerwów ruchu przerywające ich związek z ośrodkami i pozbawiające pobudzalności. Jeźli nerw jest zupełnie zniszczony, sparaliżowanie nie może być uleczone; lecz jeźli jest tylko chory, można najczęściej

przywrócić go do normalnego stanu, przez leczenie elektrycznością.

Jeźli nerwy ruchu są wstanie chorobliwego zaburzenia, wtedy powodują skurcz mięśni już to stały już przerywany; najczęściej podlegają takim zaburzeniom nerwy twarzy, nerwy ręki do palców do łokcia, w których powstają w palcach kurcze nerwowe znane w medycynie pod nazwą *pisarskich* i nie dozwalające władać piórem, oraz pęczki nerwowe wychodzące z rdzenia których rozdrażnienie sprowadza drganie i skurcz toniczny mięśni szyi, powodujący przechylenie głowy na jedną stronę.

Elektryczność usuwa lub przynajmniej znacznie polepsza te chorobliwe objawy, a nadto działa bardzo skutecznie w upartych newralgiach jeźli one nie są symptomatami innych ciężkich chorób.

Odkrycia odnoszące się do wpływu elektryczności na szpik pacierzowy, zastosowano z korzyścią w leczeniu chorób zależących od podbudzenia działalności tego organu, jak konwulsye, taniec św. Wita, hysterya i inne podobnie się przedstawiające. Doktór Ominus ogłosił dwa wypadki dające pojęcie w jaki sposób należy zastosowywać strumień elektryczny.

Dziecko dwunastoletnie rażone było straszną jakąś chorobą. Co pięć lub dziesięć minut traciło przytomność, wiło się po ziemi z przewróconemi oczami, poczem tak sztywniało że niepodobna było zgiąć żadnego członka; gdy atak minął, przychodziło do siebie, lecz każde cokolwiek żywsze wrażenie, znowu nowy sprowadzało. Najpierw probowano oddziaływać na szpik przez strumienie wstępujące, lecz zaraz dziecko dostawało silnych konwulsyi — potem ciągle przez dni piętnaście posługiwano się strumieniami zstępującemi i zupełnie przyszło do zdrowia. Drugi przykład przedstawia siedemnastoletnia dziewczyna, dotknięta cierpieniami hysterycznemi, objawiającemi się przez najdziwaczniejsze symptomata, jak np. przez szczekanie, wstręt do różnych rzeczy i najokropniejsze wykrzywianie. Włożono biegun dodatni w usta chorej a odjemny dotykał karku i zaraz ustawały wszelkie te chorobliwe objawy. Jeźli urządzono bieguny w przeciwnym kierunku, stan chorej się pogorszał. Po szesnastu elektryzowaniach chora prawie zupełnie była wyleczona, pozostały tylko nieznaczne drgania mięśni. A ileż to jeszcze strasznych chorób, na które prawie nie było rady, leczy się teraz zapomocą elektryczności.

Już Aldini utrzymywał, że galwanizm jest potężnym środkiem przywracającym działalność żywotną, zawieszoną z jakichś powodów. W początkach tego wieku, wielu doktorów przywracało do życia za pomocą galwanizmu, psy przez czas pewien zostające już w wodzie, które po wyciągnięciu z niej zdawały się najzupełniej pozbawione życia. Inne doświadczenia przekonały, że elektryczność jest nader skutecznym środkiem, przeciw zaduszeniu w wodzie lub szkodliwemi gazami. Strumień stosu przywraca jeszcze oddychanie w wypadkach zatrucia eterem lub chloroformem, nawet wtedy gdy zdaje się że nie ma już nadziei powrócenia życia.

Elektryczność łatwo bardzo zamienia się w ciepło. Jeźli przeprowadzimy silny strumień przez drut metalowy bardzo krótki, tenże rozgrzewa się, rozżarza, a w pewnych wypadkach zamienia się w parę. Z własności tej korzystają chirurgowie, przy odejmowaniu różnych chorobliwych narości. Doktorzy Marshall, Middeldorpf, Sedillot, Boeckel i. w. i. używają w tym celu rodzaju noży elektrycznych albo żegadeł, przykładają je do podstaw narości czy polypów które odjąć pragną, a gdy narzędzia te rozpalą się pod działaniem strumienia stosu, nadają im taki obrót iż część chora zostaje zaraz oddzieloną przez wypalenie, tak jakby była oderznięta ostrem narzędziem. Takie postąpienie nie dopuszcza krwotoku i tylko bardzo mały ból sprawia.

Crusell, Ciniselle, Nelaton, Petrequin i Broca robili inne jeszcze stanowcze doświadczenia chirurgiczne z zastosowaniem elektryczności, i zapewnie nowa ta metoda chirurgiczna dla tego tylko nie jest więcej rozpowszechnioną, że mało jeszcze jest operatorów dostatecznie obeznanych z zastosowywaniem przyrządów elektrycznych.

To co powiedzieliśmy wyżej przekonywa, jak ważną elektryczność odgrywa rolę w leczeniu wielu chorób i w operacyach chirurgicznych, byle umiejętnie została zastosowaną. Tak więc elektroterapia dziś już ważne zajęła stanowisko; podrzędniejsze przypada *termoterapii*, ale i ta ma przyszłość przed sobą. Nie wiele jeszcze powiedzieć można o zastosowaniu w medycynie światła i ciężkości; jednak uczeni gorliwie nad tem pracują, i w przyszłości terapeutyka ciał i terapeutyka sił wzajemnie rozwijać i uzupełniać się będą — obok medycyny proszków i mixtur, powstanie medycyna sił i ich działalności. Trudno dziś przewidzieć która stanowcze odniesie zwycięztwo, można jednak spodziewać się że obie niezaprzeczone usługi oddadzą ludzkości.

Pierwsi uczeni badający działanie elektryczności galwanicznej na nieżywe zwierzęta, widząc jak odzyskują możność ruchów a nawet pozór czucia, mniemali że odkryli tajemnicę życia; poczytali oni za jedno siłę ożywiającą z siłą zdającą się rozgrzewać zlodowaciałe już organa i przywracać władzę ich zesztywniałym stawom. Jest to mrzonka którą dziś ludzie rozumiejący działanie elektryczności tudzić się nie mogą. Nie tylko elektryczność nie stanowi całości życia, ale nie można nawet uważać jej za jeden z głównych jego żywiołów, i utożsamiać ją z siłą nerwową.

Doświadczenia p. Helmholtz przekonywają że podobne porównanie nie zgadza się z rzeczywistością. Charakterystyką sił życia i jedności żywotnej, będącej stanowczą oznaką jednoczesnej ich działalności w jednymże organizmie, jest właśnie ich układ, z którym elektryczność w żadnym nie zostaje związku. Układ ten jest dziełem wyższej działalności. Przywłaszcza sobie wszystkie siły przyrody, ale szykuje je i umieszcza w szczególnych warunkach, aby posługiwały potrzebom życia. Prawo ciążenia, ciepło, światło, elektryczność, wszystkie te siły znajdują się w łonie istot żyjących, tylko kryją się pod nową jednością fenomenalną, równie jak kwasoród, wodor, węgiel, azot, fosfor, stanowiące komórkę nerwową, i znikają w niej w nowej jedności istotnej, nie przestając istnieć jako oddzielne pierwiastki chemiczne. Nieorganiczne siły przyrody tak są potrzebne do życia, jak malarzowi linije i kolory dla zrobienia obrazu. Czemże byłby obraz bez myśli i duszy malarza? Obraz jest jego dziełem; siły fizyko-chemiczne są linijami i kolorami tej jednorodnej i harmonijnej kompozycyi, jaką jest życie. Nie miałyby one żadnego znaczenia, żadnej skuteczności, gdyby przez działalność tajemniczego artysty nie podlegały metamorfozie, która podnosząc je do godności jakiej nie miały przedtem, wyznacza im miejsce w najwznioślejszym koncercie. Tak więc w nieskończonej solidarności wszechrzeczy, jest jakto utrzymywał Leibnitz, nieustanny ruch niższego ku wznioślejszemu, stałe dążenie ku dobremu, nieustanna tęsknota do lepszego, zupełniejszego życia, do wiekuistego udoskonalania.

Przegląd teatralny.

W jesieni.

Komedya w I akcie, oryginalnie przez Władysława hr. Koziebrodzkiego, napisana.

Smutną jest jesień w przyrodzie, nie równie jednak smutniejszą staje się w życiu ludzkiem, zwłaszcza gdy człowiek stanąwszy na kresach swej doczesnej pielgrzymki, ujrzy po za sobą próżnię, a przed sobą roztwarty grób. Taką jest dola starych kawalerów którzy zmarnowawszy wiosnę i lato żywota swojego, dochodzą do tej pory zwiędłych nadziei, wyżółkłych wspomnień zwarzonych zimnym szronem rozkoszy, bez pociechy jaką dać może ciepło domowego ogniska, przyjacielski uścisk dłoni zacnej towarzyszki życia i odrodzenia się w widoku przyszłości dzieci swoich. Pan Zygmunt i pan Gwalbert są przedstawicielami tej nieuchronnej w kolejach losów prawdy. Pierwszy z nich użył i nadużył wszystkiego, pił namiętnie nektar z ponętnej czary zmysłowych uciech, szukał przelotnych wrażeń w czczych błyskotkach młodości; drugi zaś prześlęczał młody wiek nie umiejąc czy też niechcąc korzystać z praw jakie nadaje rozwój sił fizycznych w całej swej pełni — i oba stanęli na przedwstępie zimy, zatęskniwszy za szczęściem, którego we właściwym czasie osiągnąć nie zdołali. Ani artrytyzm Zygmunta skutek burzliwego żywota, ani stetryczałość Gwalberta następstwo długiego pasma dni jałowych, nie wstrzymuje spóźnionych ich pragnień do zawarcia ślubów małżeńskich; a gdy wypadek stawia na ich drodze młodziutką, powabną, o czarownem wdzięku panienkę, oba pragną nagrodzić czas stracony, i zapalić na schyłku gasnącego żywota pochodnię hymenu. Ale już jest za późno! Młoda Sabina oddała swe serce odpowiedniejszemu do jej wieku śmiertelnikowi. Wiosna ma swoje prawa: nie jej przeznaczeniem łączyć czar ożywczy z chłodami jesieni, nie jej zadaniem zespolić pączek rozkwitającego kwiatka z przegniłym owocem. Zygmunt więc pozostaje ze swojemi dolegliwościami, a Gwalbert który zmarnował młode lata wygrywając panienkom na flecie i zażywając pigułki Morissona, żeni się od biedy ze starą, egzaltowaną i pełną pretensyi panną. Oba mają to na co sobie zasłużyli; co do mnie jednak, wolałbym wybierając z dwojga złego, artrytyzmy pierwszego, niżeli matrymonialną przyszłość drugiego, ze wszystkich bowiem pigułek Morissona jaką niefortunny kandydat do stanu małżeńskiego pochłonął w ciągu długiego swego żywota, ta ostatnia będzie niezawodnie najbardziej gorzką dla niego.

Sztuka p. Władysława Koziebrodzkiego nie jest komedyą ani farsą: za mało posiada warunków wewnętrznego rozwoju charakterów i akcyj na pierwszą, za wiele melancholicznego nastroju na drugą. Jest to obrazek wzięty z życia i obleczony formą dramatyczną. Wszystkie szczegóły które podobało się przedstawić autorowi w szacie komicznej, wyradzają mimowolnie w tajnikach duszy słuchaczów jakiś niewysłowiony, nie dający się określić smutek: głośny śmiech wtoruje żartobliwym na pozór sytuacyom, ale w tym śmiechu tkwi zarazem jakieś tajemne uczucie żalu. I nie może być inaczej: zmarnowane życie, spóźnione porywy zastygłych serc, owa walka ubezwładnionego ciała z resztkami uczuć, ów kontrast rozkwitającej całym powabem przyszłości wiosny z obrazem smutnej, ciemnej, ponurej jesieni, po za którą nie ma już nic prócz skrystalizowanej grobowem chłodem zimy, nie może pobudzić wnikających w istotę rzeczy ludzi do serdecznego śmiechu. Śmiejemy się wprawdzie, ale wesołość nasza jest nieopatrzną, bezwiedną,

chwilową; powróciwszy do domu myślimy mimowolnie nad temi dwoma zmarnowanemi żywotami, i ciche westchnienie spółczucia wydobywa się z piersi naszych.... Załzawiona oczywistość w arlekińską obleczona szatę cieszy i smuci zarazem: za mało na komedyę—za wiele na farsę.

Utwór sceniczny pana W. Koziebrodzkiego jest to niby Janus o dwoistem obliczu: dla bezmyślnej gawiedzi ukazuje się on jako wesoła sztuczka wyszydzająca dowcipnie starych kawalerów i stare panny, dla ludzi czujących i myślących, jako smutna, pełna ukrytej grozy prawda. Pierwsi opuszczają salę widowiska z przekonaniem iż autor chciał ich tylko ubawić, drudzy umiejący ocenić przewodnią myśl twórcy, żałują iż tenże dodał do objawów smutnych, ponurych, wyradzających myśl głęboką, filozoficzną, hałaśliwe dzwonki Momusa. Nie należemy bynajmniej do rzędu sprawozdawców którzy mają zwyczaj narzucać a priori swój sposób zapatrywania się na rzeczy autorom; można wyśmiać ból i popłakać nad głupstwem ludzkiem, narysować Mutiusa Scewolę w karykaturze, a Kalchasa przystroić w koturny, wszystko to bowiem zależy od chwilowego ustroju umysłu dramatycznego pisarza, zdaniem jednak naszem, obrazek jaki nam p. Koziebrodzki przedstawił, zyskałby niezawodnie gdyby mu dano odpowiedniejsze do jego wewnętrznych cech barwy. W każdym razie napisany on jest z talentem, przeprowadzenie sceniczne wzorowe, akcyja żywa, a charakterry niektóre naszkicowane wiernie. Taki Zygmunt, ex-Lowelas, ex-don Juan, schorowany, żyjący jak mumia pomiędzy pamiątkami przeszłości, przypominającemi mu wybryki lat młodych, a tęskniący na schyłku życia za ożywczem ciepłem rodzinnych stosunków, jest typem jaki często spotkać można na świecie; równie dobrze narysowany charakter żywej, naiwnej, dopiero co wyszłej z pensyi a już zakochanej panienki. Stary sługa jako dopełnienie tęskniących za stanem małżeńskim pasożytów, jest także na swoim miejscu. Mniej szczęśliwie wyszły z pod pióra autora przesadzona Paulina i niekonsekwentny Gwalbert, który raz zdaje się być oziębłym pedantem, drugi raz znowu rozpływającym się w idealnych marzeniach romantykiem. Do dodatnich stron sztuki policzymy jeszcze oryginalność nie pomysłu lecz obrobienia, a mianowicie owo subtelne zestawienie jesieni życia z jesienią roku; do ujemnych rozwlekłość niektórych scen, zbyt długie rozwiązanie i brak zupełny swojskości w szczegółach stanowiących treść komedyi — akcya bowiem mogłaby się odbywać tak dobrze we Francyi, Niemczech, Anglji jak u nas, a niktby z pewnością tej zamiany przy kosmopolityzmie składowych części dzieła, niedopatrzył.

W akcesoryach scenicznych notujemy zbyt plastyczne kształty rzeźb i malowideł nagromadzonych w mieszkaniu do którego wprowadza autor siedmnastoletnią panienkę, i zanadto barwną zieloność wiosny w liściach drzew dających się widzieć przez otwarte okno, wśród smutnej i ponurej pory jesiennej. Ale te ostatnie zarzuty stosować jedynie można do modelisty i dekoratora teatralnego.

Pan Żółkowski mistrzowskim swoim talentem podniósł rolę Zygmunta do rzędu znakomitych kreacyj. Trudności wytworzenia komizmu z dolegliwości wieku i chorób, pokonane przez tego niezrównanego artystę zostały bez żadnego widocznego wysiłku. On cierpiał nieznośne bóle; każdy z widzów odczuwał z nim razem owo łamanie po kościach, owo kurczenie się żył, a jednak werwa humorystyczna nestora naszej sceny wzbudzała jednocześnie homeryczny śmiech. Zdawać się na pozór może iż spoić dwa tak różnorodne czynniki, jest rzeczą niepodobną do uskutecznienia — dla pana Żółkowskiego jednak nie ma jak widać nic niepodobnego.

Pannie Romanie Popiel dostała się w udziale jedna z tych ról w których zazwyczaj celuje. Trudność była w tem ażeby odtwarzając naiwną, trochę trzpiotowatą, cokolwiek sentymentalną panienkę, nie popaść w powtarzanie dawniej stworzonych przez nią charakterów. Rzecz to nie tak łatwa jak się na pozór zdawać może. Każda ze zwykłym talentem artystka przyjmując charakter którego oddanie tyle razy wywołało zasłużone oklaski, uszczknęłaby bezwiednie choć jeden listek z przeszłych wawrzynów, i ubarwiła nim swoją rolę. Ale panna Popiel nie należy do rzędu o zwykłym talencie artystek. Ona jest wszędzie i zawsze samoistną. Z tła o jednakowych na pierwszy rzut oka barwach, ona umie wydobyć nowe odcienia, nieznane przed tem zarysy: jeden uśmiech, jeden gest, jedno czasem poruszenie głowy, przyczyniają się w jej grze do rozgraniczenia wybitnemi cechami utworzonych przez nią typów. Sabina której wdzięczne ruchy i naiwną gracyę podziwialiśmy w świeżo przedstawionej komedyi p. K. nie była w niczem podobną do swoich poprzedniczek.

Panu Rapackiemu dostają się od niejakiego czasu w udziale niekonsekwentnie przez autorów skreślone charaktery: takim był chybiony pedagog w „Niewinnych", takim obecnie okazał się na wpół stetryczały na wpół rozmarzony Gwalbert w „Jesieni". Tym większą więc jest zasługa artysty, kiedy ten talentem swym zmuszony jest prostować błędy pióra autorów. Jednakże rola Gwalberta pomimo pewnych sprzeczności ma tę wyższość nad rolą Dobrycza, iż nie grzeszy wstrętnym ateizmem, i dla tego p. Rapacki wyszedł z niej świetnie, a zatarłszy grą swoją niedostatki wypływające ze zlepka dwóch przeciwnych sobie pierwiastków, zyskał powszechne a zasłużone oklaski.

Panna Figarska przedstawiająca Paulinę, nie umiała dorównać innym wykonawcom utworu p. Koziebrodzkiego. Prawdę powiedziawszy sama postać starej panny jest cokolwiek przez autora przesadzoną, nie idzie jednak za tem ażeby zrobić z niej niesmaczną szarżę. Artystka miała kilka chwil szczęśliwych, całość jednak zostawiła wiele do życzenia. Nadto charakterystyka jej twarzy, nie zdaje nam się odpowiednią. Paulina, o ile z całego zakroju sądzić możemy, należała do rzędu owych przedpotopowych mumji, przestarzałych westalek, chwytających się jak tonący brzytwy podtatusiałego ideału swej młodości; panna Figarska zaś w skutku braku koniecznych zmarszczek, wydała nam się wcale nie szpetną, a nawet po części ponętną kobieciną, którą młodsi nawet od stetryczałego flecisty, mogliby bez wstrętu i wykrzywiania ust, wziąść za żonę.

Pan Damse był jak zawsze wybornym starym sługą, i ożywiał sztukę przy każdem swem pojawieniu się naturalnym a nieprzesadzonym komizmem.

Wogóle utwór pana Władysława Koziebrodzkiego, pomimo wymienionych przez nas ujemnych stron, zaliczyć śmiało możemy do lepszych nabytków repertuaru teatru Rozmaitości, moralna zaś tendencya komedyi sprawia iż nie jeden z młodych ludzi marnujących czas na zmysłowe rozkosze, lub odkładanie z dnia na dzień chwili ustalenia swojego losu, ujrzawszy cierpienia Zygmunta w połączeniu z ostatnią pigułką Gwalberta, wniknie w siebie i nie zechce czekać aż do jesieni, ażeby w tej spóźnionej porze zrywać kwiaty które wiosna jedynie udzielić zdoła. W każdym razie podobnych rezultatów ani wyuzdana rozpusta ś. p. „Tricochet i Cacolet" ani ohydny ateizm żyjących dotąd „Niewinnych" dać nam nie jest w stanie.

Ludwik Niemojowski.

GOSPODARSTWO DOMOWE.

Przyrząd do pieczenia baumkuchenu.

Bardzo jest dogodnym przyrząd do przysposobienia tego tak wyśmienitego ciasta tyle utrudzenia przynoszącego przy wykonaniu. Przyrząd ten w części znacznej utrudzenie to zmniejszający, składa się z długiej blaszanej podstawy, opatrzonej z obu końców wysokiemi kawałkami żelaza z małemi zagłębieniami u wierzchu, w które się rożenek przyrządu zakłada, i z zupełnem bezpieczeństwem chociaż ciężar ciasta wzrasta, obracać może. Rożenek w środku ma przymocowaną blaszaną rurę stopniowo zwężającą się ku końcowi, rurę tę owija się tłustym papierem i polewa stosownie przyrządzonem ciastem, a dalej postępuje jak przy pieczeniu baumkuchenu. Cena przyrządu całego wynosi rs. 1 k. 20.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Pani *H. w Satanowie.* List zawierający kwit pocztowy na przesłane w Sierpniu jeszcze pieniądze do Krakowa, wysłaliśmy za rewersem powrotnym.

Pani *Maryi S. w Wodopojach.* Okrycie białe „Sortie de bal" kosztować może od rs. 10 do 25. Serweta application na suknie zaczęta, z oznaczonym na całej deseniem i wszelkiemi przyborami około rs. 30. Futro małpy, duże skórki, sztuka od rs. 12 do 20, małe, sztuka od rs. 4 do 10. Suknie kaszmirowe najwięcej ubierają grubą taśmą szmuklerską.

Pani *Alinie C. w Ostaszynie.* Rs. 10 na sprawunki odebraliśmy! Wszystko więc podług życzenia wysłane zostanie.

Pani *Ludwice B. w Chełmie.* Rs. 12 a następnie rs. 5 odebraliśmy. Sprawunki już wysłane, pozostało w depozycie redakcyi kop. 90, jak to szczegółowy rachunek dołączony przy liście podaje.

Panu *D-rowi St. w K. Korsuniu.* Próbki wysłane, należy się redakcyi za ich przesyłkę kop. 14. Robota codziennej sukni kosztuje od rs. 3 k. 50 do rs. 5. Niezbędne dodatki jak listwy, taśma do dołu, podszewka w stanik mniej więcnj od rs. 1 k. 50 do rs. 2. Przesyłka z potrąceniem komisowego, kosztów opakowania i pocztowej opłaty, zapewne do rs. 3 dojdzie.

Pani *Wawrzynie P. w Ładeżynce.* Kwiaty o jakie Pani zapytuje wypadną od rs. 5 do rs. 15. Białe rękawiczki na kilka guzików spięte od rs. 1 do rs. 1 kop. 20, kozłowe rs. 1 k. 80. Czarna materya w tej cenie będzie tylko nie zła.

Do dzisiejszego Nru Tygodnika Mód, dołącza się dodatek z drzeworytami.

ДОЗВОЛЕНО ЦЕНЗУРОЮ. Варшава, 12 (24) Ноября 1875 г. Redaktor i Wydawca J. K. Gregorowicz. Druk E. Skiwskiego, Elektoralna Nr. 758 (28).

Dodatek.

Opis do N. 46.

(Dokończenie).

Podług odpowiednich liter i znaków łączą się z sobą pojedyncze części kroju; tylny boczek fig. 3 dopełniony jest fałdą odznaczającą się na ryc. 23, daną z kawałka materyjału środkiem prostego, 65 cent. długiego, który liczy w górnym prostym brzegu 50 cent. w zaokrąglonym zaś dolnym 60 cent. i odpowiednio do fig. 3 ma brzeg boczny ścięty trochę skośno. Z całej szerokości wraz z oszyciem futrzanem założona jest głęboka kontrafałda, którą przyczepia się poniżej plecków podszytych futrem, złączonych tylko do *F* (Fig. 4) z boczkami, krótkie karoczko spadające na fałdę oszyte jest także futrem. Szerokie rękawy muszą być przy wszyciu przymierzone do pachy i dopasowane na osobie, ażeby leż :ły gładko i nie ciągnęły się do dołu; spodnia połowa odpowiednio Fig. 5 kraje się wężej niż zwierzchnia. Wykrój szyi obejmuje 2 cent. szeroki skos repsowy, zapięcie skośne z przodu dopełnia się za pomocą haftek.

N. 25. Ubranie sześcioletniego chłopczyka.

Marynarska bluza, spodeńki i szarfa składają zarówno letnie jak i zimowe ubranie, powszechnie używane dla dzieci, tylko rodzaj i gatunek użytego materyjału stosować się powinien do pory roku.

N. 26—30. Ubrania ozdobione szeroką i wązką pletnią.

Krój na arkuszu dodatkowym N. IX, Fig. 37—38 i N. XV, Fig. 64—68. Opis przy ryc. 18—21 w N. 45 Tygodnika Mód.

N. 31. Rękaw przybrany wązką pletnią, odpowiedni do ryc. 29.

N. 32—33. Luźny paletot z dodaną częścią fałdowaną. Krój w dodatku N. XII, Fig. 50—53-a.

Paletot odrobiony z miękkiego zimowego materyjału matelasse (130 cent. szerokiego) ma przody, plecy i boki krajane w jednym ciągu, bez szwu na ramionach, jak to widzimy dokładnie na zmniejszonym formacie kroju fig. 50-a—53-a; dopełnienie krótkich pleców stanowi dodana oddzielna część fałdowana, jak przy paletotowem vêtement ryc. 18—19, tu także przyszycie fałdowania przykrywa suta szarfa. Ryc. 32 przedstawia przód paletota, obłożonego u dołu na 12 cent. repsem jedwabnym, zapiętego na dwa rzędy guzików, dopełnionego wykładanym kołnierzem z repsu i materyjału paletota, i dubeltowym repsowym szalikiem 90 cent. długim, 9 szerokim z końcami wysiepanemi.

Z powodu braku miejsca duży format kroju podaliśmy z załamaniem formy i z wypisaniem całkowitego wymiaru przodu, który powtarzamy na zmniejszonym, całkowitym formacie. Ażeby forma mogła być wykrojoną bez sztukowań potrzeba na paletot brać materyjał dubeltowej szerokości, który jest drogim; dla zupełnej pewności dobrego leżenia najlepiej formę wypróbować na osobie. W prawym przodzie obrabiają się dziurki do zapinania i przyszywa jeden rząd guzików, drugi rząd przyszywa się na lewym przodzie.

Przecięcie na kieszonkę oznaczone jest na fig. 50; objęcie brzegów paletota przestębnowywa się dwa razy. Część fałdowana liczy 108 cent. szerokości, przy 44 cent. długości i dodana jest z repsu, który trzeba zaobrąbić u dołu i złożyć w sześć szerokich fałdów, schodzących się do środka i dla lepszego utrzymania podszytych od spodu wstążką. Szarfa złożona z podwójnej materyi, związana jest z dwóch końców po 50 cent. długich a 17 szerokich wysiepanych u dołu.

N. 35 i 46. Kapelusik dla małej dziewczynki.

Tego rodzaju kapelusik może nosić zarówno dwu-letnie dziecko, jak i sześcioletnia dziewczynka, wielkość trzeba powiększać odpowiednio do głowy dziecka, za materyjał służyć może kaszmir lub jedwabna materyja. Model nasz wykończony z białego jedwabnego repsu, ma główkę 5 cent. wysoką a 64 szeroką, dopasowaną najpierw ze sztywnego tiulu, pokrytą gładko repsem, a następnie ozdobioną dwoma częściami chusteczkowemi, lekko przewiązanemi podług ryc. 35. Każda chusteczka ma formę zbliżoną do podłużnego kwadratu 32 cent. szerokiego, mającego 37 cent. ze stron podłużnych a 42 z poprzecznych. Obie połowy przyszywają się do kapturka poprzecznemi brzegami, skróconemi przez założenie fałdek do 27 cent. długości; przeciwległe poprzeczne brzegi przyczepiają się do główki niewidocznemi ściegami. Frendzla odrobiona jest ze wstążki 5 cent. szerokiej, ryc. 46 wskazuje wiązanie frendzli, na którą trzeba wstążkę wzdłuż wysiepać. Rondko kapelusza marszczy się na cieniutkich pręcikach trzcinowych i wymaga skosu 200 cent. długiego, 7 szerokiego podszytego materyją i przeszytego drobniuchno dla wewleczenia czterech trzcinek, po zmarszczeniu długość przedniego brzega wynosi 64 cent., od główki zaś tylko 50.



N. 1—2. Ubranie domowe z vêtement.

N. 36. Paletocik dla chłopców.

Paletocik prostą puszczoną formą odpowiedni dla małych chłopców, przykroić można podług form załączonych w dawniejszych dodatkach. Odszycie paletocika jest nader łatwe, przybranie stanowić mogą szersze lub węższe taśmy wełniane, lub oszycie z futra. Patki zapięte na plecach liczą 20 cent. długości a 5 szerokości.

N. 37—38 i 22. Trzy zimowe okrycia.

Różnego rodzaju płaszczyki i burnusy bardzo upowszechniają się tego roku i stanowią okrycie odpowiednie z małemi odmianami tak dla osób starszych jak młodych. Guziki dane dwoma rzędami z przodu, różnią je od przeszłorocznych. Wielkie szerokie rękawy przy płaszczykach odpowiednie są tylko dla osób starszych, nigdy zaś dla młodych panienek, na dnie zimniejsze w środek szerokich rękawów przywiązują się za pomocą tasiemeczek, drugie wązkie rękawy. Okrągłe burnusy liczące mniej więcej 105 cent. długości z przodu a 128 z tyłu, wykończają się z jednokolorowego doublesztofu, z matelassé materyjałów w kratę lub z czarnego jedwabnego repsu z obłożeniem futrzanem. Ryc. 22 załącza modny burnus z ciepłego plaidsztofu w dużą kratę; dolny brzeg wycięty w zęby zakończa wszyta bogata frendzla jedwabna; kapturek ozdobiony jest sutą kokardą. Płaszczyki robią z sukna, kaszmiru, repsu jedwabnego, bristolu, bouclé, velours lub t. p. materyjału, ozdabiają oszyciem z futra, pletnią, plisami jedwabnemi, frendzlą i t. p. i dopełniają pelerynami. Formę dopasować można z każdego puszczonego paletota. Dwa wzory płaszczyków załączyliśmy na ryc. 37—38.

N. 39. Motyl z koronki irlandzkiej.

Stanowi on piękne przyozdobienie kokardy do włosów, do kołnierzyka, lub do przybrania strojnych jedwabnych sukien; można go wykończyć z czarnego jedwabiu lub z białych nici. Dla większej sztywności skrzydełek naszywa się na wierzchu tasiemeczki, koronkowy sznureczek, jak to widać z ryc. 39, wskazującej dokładnie rodzaje ściegów koronkowych, jakiemi zapełniają się skrzydełka.

N. 40—42. Poduszeczka do igieł.

Na tle z błękitnego atłasu którym poduszeczka jest powleczona, dany rzucik z kwiatków, haftowanych atłaskiem, za wzór mogą służyć ryc. 41—42. Do wypchania poduszeczki używa się zapachnionych opiłek lub otrąb, gruby sznur jedwabny kręcony do cieniu otacza brzegi. W miejsce haftowania kwiatków można przeaplikować małe gałązeczki wycinane z koronek.

N. 43. Kasetka na toaletę, ozdobiona haftem i aplikacyją z kretonu. Patrz ryc. 11 w N-rze 45.

Kwadratowe pudełeczko mające około 20 cent. długości a 6 wysokości łatwo własnoręcznie skleić z cienkich deseczek lub tektury; wewnątrz powleka się ścianki i dno kolorową materyją lekko podwatowaną pachnącą watą. Płaskie wieczko kasetki ozdobione jest haftowanym na materyi kwadratem, przyczepionym na podgarnirowaniu z riuszy; ryc. 11 w N-rze 45 załącza haftowany narożnik kwadrata i oszycie brzeżne. Boki kasetki jak to widać z ryc. 43 ogarnirowane są wstążką układaną w kontrafałdy.

N. 44—45. Ekran do zastawienia świecy lub lampy. Haft na suknie z podkładaniem. Deseń części środkowej w dodatku Fig. 76.

W pięknie rzeźbionych ramkach ekranu oprawiony jest

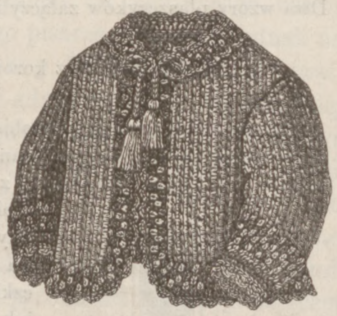
haft odrobiony na suknie, materyi, atłasie i t. p. w dwóch cieniach do których odpowiednio dobierają się cienie jedwabiu. Narożniki wykończają się podług ryc. 45, przedstawionej w naturalnej wielkości. do przytwierdzenia brzegów ciemniejszego materyjału służy złota plecioneczka, przyszywana czarnym jedwabiem. Bukiet środkowy składa się z gałązek fuksyi, wyhaftowanych płaskim ściegiem, jedwabiem do cieniu, podług fig. 76. W miejsce haftu można użyć aplikacyi kwiatów z kretonu.

Opis do N. 48.

N. 1—2. Ubranie domowe z vêtement.

W ubraniu przedstawionem z przodu i z tyłu na ryc. 1 —2, głównie zasługuje na uwagę zręczne i niezwykłe vêtement, a jednak łatwe do odrobienia. Przody wraz z boczkami przykroić można podług formy do ryc. 25—26 w N. 18 Tygodnika, zaś kamizelkowe ubranie przodów i obłożenie u dołu kraje się oddzielnie w jednym ciągu. Plecy z należącemi do nich boczkami, dopasowane są podług stanika z baskiną; środek pleców ułożony jest w stębnowane zakładki, szerzej rozchodzące się w górze a ściśnięte w pasie. Górne brzegi vêtement zachodzą na baskinę tak, iż odznaczają bawet, tylne brzegi są dobrze przyfałdowane i spięte szarfami, przednie zaś przymarszczone od dołu i dopiero oszyte wyłogami. Osobom mniej wprawnym w krajanie sukien, radzimy formę vêtement dopasować wpierw z bibułki albo muślinu podług figury. Górny brzeg wyłożenia oszyty jest wypustką ze sznureczkiem i wązką falbanką drobno plisowaną a następnie układaną w kontrafałdy; dół zaś szerszem plisowaniem z nagłówkiem. Szeroki garnirunek na rękawach składa się z wązkich, w kontrafałdy układanych falbanek z plisowania i kokard.

Z przodu vêtement spięte jest kokardami ze wstążki tego co suknia koloru; model ryc. 1 odrobiony był z kaszmiru piaskowego, a ryc. 2 z alepiny czarnej.



N. 5. Kaftanik włóczkowy dla dzieci. Ścieg tunetański, robotę szlaku podaje ryc. 6.

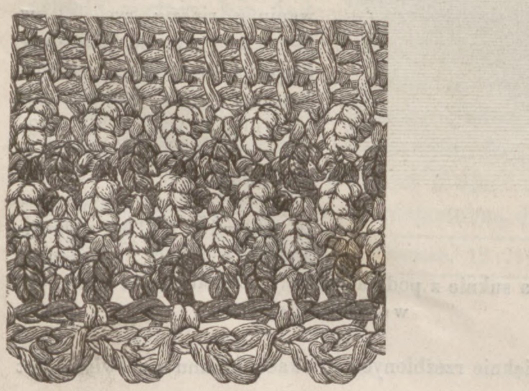


N. 9. Pulsetek włóczkowy robiony szydełkiem i na drutach. P. r. 10.

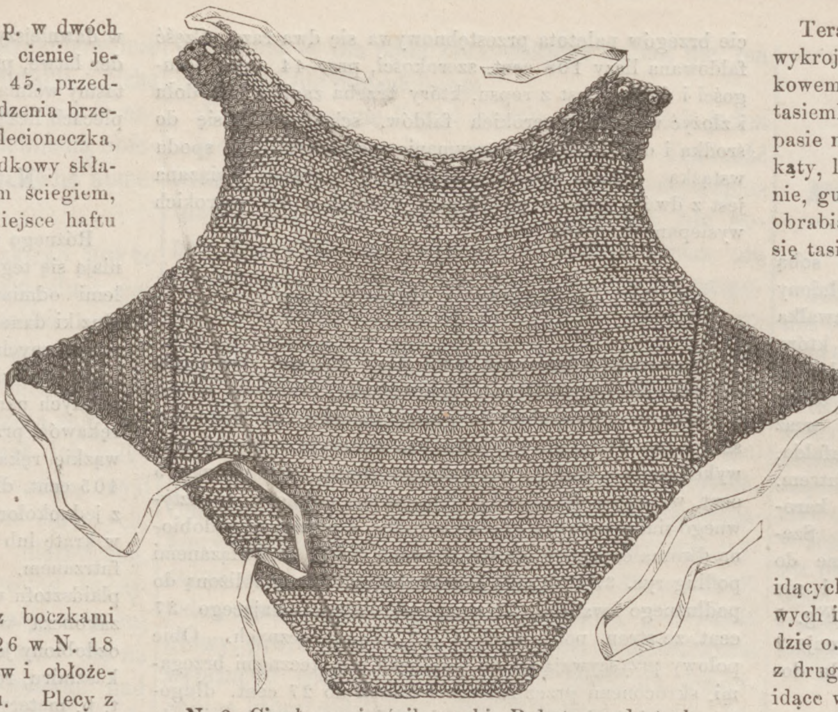
N. 3. Ciepły napierśnik dla panów.

Materyjał: 105 gramów cienkiej białej włóczki krajowej, druty drewniane mające $1 \frac{1}{4}$ cent. obwodu.

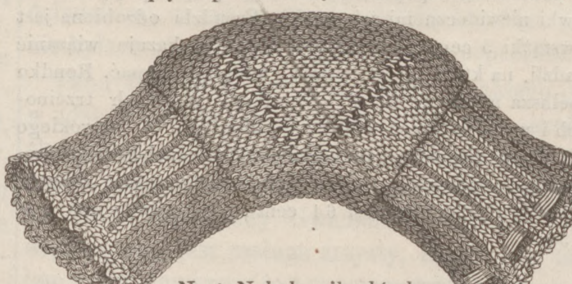
Napierśnik zaczyna się od dołu na o. 50 i robi zawsze gładko tam i napowrót razy 100, przybierając co drugie obrobienie 1 o. na początku i przy końcu druta. Dalej 100 razy obrobić równo, a nakoniec razy 40, gubiąc co drugie obrobienie na początku i przy końcu. Ażeby otrzymać zaokrąglenie pod szyją, rozdziela się oczy w ten sposób, że 70 środkowych pozostaje na drucie, a po 20 z brzegów bierze się oddzielnie i obrabia 16 razy gubiąc co drugie obrobienie 4 o. od strony wykroju, poczem z lewej strony jeszcze 8 razy równo, a z prawej strony także równo przedłużając do miary szyi, a w samym końcu daje się dwie dziurki do guzików, przyszytych z przeciwnej strony; dziurki te następnie obrabia się dla mocy jedwabiem.



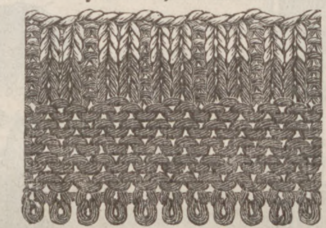
N. 6. Szlak w pętelki do kaftanika ryc. 5.



N. 3. Ciepły napierśnik męzki. Robota na drutach.



N. 4. Nakolennik włóczkowy robotą na drutach.



N. 10. Szlaczek i tło na drutach do pulsetka ryc. 9.



N. 12. Okrycie z chustki włóczkowej, Próbkę ściegu podamy w przysz. N-rze.

Teraz w obydwóch częściach oczy brzeżne od strony wykroju, nabiera się na drut i obrabia razem z 70 środkowemi 8 razy, dając w środku dziurki do przewleczenia tasiemki. Nakoniec oczy brzeżne w środkowym, równym pasie nabiera się na druty, ażeby dorobić szpiczaste trójkąty, liczące po 27 rzędów, w których co drugie obrobienie, gubią się o. na początku i końcu, aż do 6 o., które obrabia się równo 6 razy i zakończa, a potem przyszywa się tasiemki do wiązania w pasie.

N. 4. Ciepłe nanożniki. Robota na cienkich, drewnianych drutach.

Materyjał: 60 gramów włóczki angielskiej.

Zaczyna się od środkowej, kolano przykrywającej części na o. 21 i obrabia tam i napowrót 15 razy gładko, w 16 naprzód idącem obrobieniu, zaczyna się klinik, na który przybiera się 2 o. po obydwóch stronach o. środkowego. W następnych zawsze naprzód idących rzędach przybiera się zawsze po 10 o. początkowych i przed 10 końcowemi aż dopokąd klin liczyć będzie o. 41, teraz robi się 14 razy gładko i zaczyna klin z drugiej strony, który otrzymuje się przez wygubianie, idące w tem samem porządku jak poprzednio przybieranie aż do 1-go środkowego oka. Obrabia się znów 15 razy gładko i łączy brzegi podłużne z lewej strony. Nakoniec nabiera się oczy z obydwóch brzegów i robi w koło, przyczem w równych odstępach przybiera się o. 20 i obrabia w koło 40 razy zawsze 2 o. gładko a 2 kręto. U góry daje się dziurki do przewleczenia elastyki a obadwa brzegi obrabia się ząbkami pikotowemi, szydełkiem.



N. 7. Kaftanik włóczkowy z ażurowym szlakiem. Przód i robotę szlaku pod. w prz. N-e.

N. 5—6. Kaftanik dziecinny ze szlakiem w węzły. Ścieg tunetański.

N. 7. Kaftanik dziecinny z rzadkim szlakiem. Ścieg tunetański.

N. 8. Szlak do ryc. 28 w N. 49 Tygodnika mód.

N. 9—10. Pulsetki. Robota szydełkowa i na drutach.

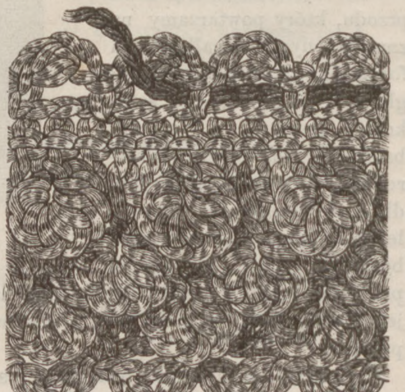


N. 11. Mankietek z materyi naszyty torsadą.

Materyjał: 17 gramów włóczki czarnej i 8 gramów białej.

Pulsetki składają się z czterech na siebie zachodzących części, robionych na drutach, ściegiem karbowanym i gładkim; a u góry są zakończone mankietem szydełkowym, robionym ściegiem tunetańskim. Części karbowane zaczynają się od góry na drutach stalowych, na o. 96 i obrabiają trzy razy włóczką białą 3 czarną, zawsze naprzemian 2 o. gł. 2 kręto. Potem bierze się druty grubsze drewniane na których obrabia się dalej gładko 10 razy, biorąc zawsze w pierwszem obrobieniu razem 2 o. gładkie a potem 2 kr., tak iż liczba oczek zmniejsza się do połowy. W taki sam sposób odrabia się dalsze paski karbowane, które przyrabia się do pulsetka 11 obrobieniem gł. po 2 o. razem, i znów obrabia 10 razy gładko.

Po przyrobieniu 4-tej części karbowanej obrabia się 31 razy gładko, przybierając w 17 i 24 obrobieniu, w równych odstępach po 6 oczek. Po zakończeniu spaja się pulsetki z lewej strony, razem z karbowanemi paskami, a następnie dodaje mankiet szydełkowy, zaczęty na o. 48 i obrobiony ściegiem tunetańskim raz włóczką białą a 4 razy



N. 8. Szlak w maszki do kaftanika który podamy w przysz. N-rze.

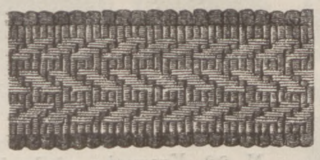
czarną. Dla otrzymania zęba zrabia się zawsze w jedno 3 o. środkowe; nakoniec łączy się mankietek z lewej strony i przyrabia o. śc. włóczką białą, którą także w sposób na ryc. 9 wskazany przyczepia się ząb do pulsetka.

N. 11. Mankietek z czarnej materyi.

Wiele dam uważa jako bardzo praktyczne na zimę, mankietki z czarnej materyi, ubrane galonem i koronką. Mankiet kraje się podług używanej do płóciennych formy, daje w środek sztywną klijonkę, z wierzchu naszywa galonem czarnym, srebrem przerabianym, garniruje z brzegu trochę nadmarszczoną koronką, pod którą poddaje się drobne plisowanie z białego muślinu.

N. 12. Okrycie do teatru albo na koncert, ułożone z chustki.

W poprzedzających numerach Tygodnika mód, znajduje się wiele ładnych próbek do roboty na drutach, podług których odrobić można z włóczki angielskiej lub berlińskiej chustkę w pasy w dwóch lub więcej korach lub cieniach. Podany model był roboty warsztatowej w pasy białe i kolorowe 8 i 10 cent. szerokie, chustka wraz z frendzlą 10 cent. szeroką trzymała 180 cent. w kwadrat. Nową próbkę roboty w pasy podamy w N. 48 Tygodnika na ryc. 25, szerokość może być dowolnie powiększona przez dodanie 1 lub 2 rzędów dziurek, liczba oczek musi zawsze dzielić się przez 6. Na dwa rzędy dziurek zaczyna się na o. 18, z których 1 o. zdj. 3 o. gł., 1 zd. 1 gł. i zdjęte przez niego przewlec, 2 razy przybrać, 1 zd. 1 gł., przez które zd. przewlec, 3 gł., 1 zd., 1 gł. zd. przewlec resztę gładko; rzęd 2 gładko tylko zawsze z 2 o. przyb. 1 gł. drugie kręto. Po kolumnie z 6—8 dziurek obrobić 6 razy gładko, i tak powtarzać ciągle.



N. 15. Torsada do ryc. 14.



N. 14. Kieszonka do vêtement, paletotów i t. p.

N. 13. Koniec do krawatki. Haft na tiulu z podkładaniem muslinu.

N. 14—15. Kieszonka do vêtement, albo paletota.

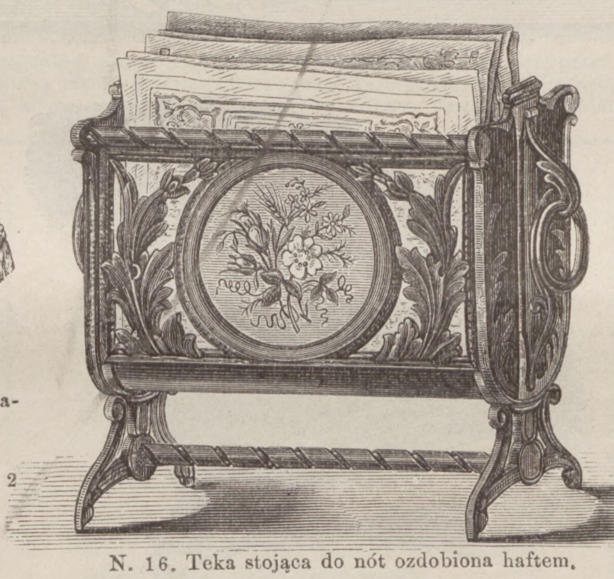
Kieszonkę mającą 16 cent. środkowej a 12 brzeżnej długości, na 16 górnej a 21 dolnej szerokości, przykrawa się ze sztywnego muślinu, podszywa fularem a zwierzchu pokrywa skośnym kawałkiem repsu szer. 21, a długim 26 cent. w górze dwa razy przemarszczonym i na 4 cent. szer. naglówek podwiniętym, u dołu i z boków przyszytym gładko. Do przyozdobienia służy galon czarny który może być złotem lub srebrem przerabiany, szeroka wiązana frendzla i kokarda ze wstążki.

N. 16—17. Teka stojąca do nut.

Podstawa teki jest z pięknie rzeźbionego, ciemno lakierowanego drzewa. Środkowy medalijon zapełnia podług wyboru haft płaski kordonkowy, aplikacyja na aksamicie



N. 13. Zakończenie do krawatki. Haft na tiulu.



N. 16. Teka stojąca do nót ozdobiona haftem.



N. 17. Medalijon do tek lub t. p. Haft z podkładaniem.

lub materyi robota krzyżowa lub perełkowa, albo na koniec mozajka leśna. Na ryc. 17 stosowny medalijon z czarnego aksamitu, na którym w środku dana aplikacyja z białej materyi, pod którą podkłada się cieniutką tekturę a rysunek na wierzchu odrabia piórem, tuszem lub t. p. Gałązki haftuje się kordonkiem zielonym do cieniu, a arabeskę robi ściegiem łańcuszkowym dwoma cieniami orzechowemi.

N. 18. Rama do zakładania szczotek.

Odrobiona jest z drzewa ciemno lakierowanego i ozdobiona pasami haftowanemi kordonkiem na suknie lub materyi, które służą do przytrzymania założonych za nie szczotek.

N. 19—20. Chusteczka siatkowa. Patrz ryc. 9.

Materyjał: 25 gramów jedwabiu kordonkowego, igliczka, dwa wałeczki drewniane, jeden cienki drugi grubszy.

Chusteczki z czarnego albo kolorowego kordonku formy trójkątnej, trzymające w bocznych frendzlą oszytych brzegach po 90 cent. są obecnie modne nietylko na szyję ale i do upięcia w zimie na kapeluszu. Zacząć trzeba chusteczkę od górnego, do szyi idącego brzegu na o. 184, obrobić równo parę razy a w 24 następnych obrobieniach zostawiać ostatnie oko w każdym rzędzie. W dalszych zaś 78 pozostawiać po 2 oczy końcowe, ażeby chusteczka w rogu miała tylko 4 oczy. Na zakończenie obrobić 2 razy w koło na grubym wałeczku, jedwabiem podwójnym, przybierając w rogach po parę oczek; na gotowej chusteczce wycerować szlaczek podany na ryc. 20, i przyrobić frendzlę, która się składa z 8 nitek 16 cent. długich, przez każde oczko przeciągniętych złożonych równo we dwoje i supełkiem przywiązanych.



N. 18. Wieszadło do zakładania szczotek.

N. 21. Ubranie na głowę z barbki koronkowej.

Ryc. 21 przedstawia czarną koronkową barbkę, którą można odrobić własnoręcznie z czarnej koronkowej tasiemeczki, zapełniając kratki jedwabiem. Do przybrania służą róże i czarna aksamitka.

N. 22. Krawatka z jedwabnej krepy.

Kawałek wązki, potrójnie złożonej krepy, na dwie strony ogarnirowany walansienką 2 cent. szeroką, stanowi fryzkę. Kokardy ułożone są z czterech skośnych, 15 cent. szer. kawałków, fałdowanych w sposób wachlarzowy i przepiętych węzłem w podłużne fałdki ułożonym. Na końce potrzeba, dwóch trójkątów krepy, trzymających w środku 18 cent. długości, z prostych brzegów oszytych koronką i ułożonych w fałdy w sposób na rycinie wskazany, a przybranych gałązkami bladoróżowych dzwoneczków lub innych drobnych kwiatków.

N. 23. Wachlarz z malowaniem i piórami.

Oprawa czarnego, krepowego wachlarza jest z pięknie wyrzynanego, czarno politurowanego drzewa, obie strony krepy zdobi lekkie malowanie w dwóch kolorach odpowiadających piórom, któremi wachlarz jest oszyty u góry.

N. 24. Ubranie spacerowe z tuniką krojem spódnicy.

Grubo tkany zimowy materyjał, w ciemno-granatowym, popielatym, lub innym kolorze, obiera się na taką suknię. Tunika kroju u spódnicy, z jednego lub obydwóch boków w fałdy podpięta, powinna mieć boczne bryty w brzegu tylnym o 30 cent. dłuższe od bryta tylnego. Te brzegi obejmuje się aksamitem tego samego koloru i układa w 6 f a ł d przepiętych aksamitnemi guzikami, zajmujących 48 cent. długości. Wązkie pliski przy tunice, i staniku z baskiną, mankiety i kołnierz są z aksamitu. Przy spódnicy dwie plisy po 9 cent. szerokie oszyte są w górze wypustką z aksamitu, a u dołu drobnem plisowaniem z materyi, mającem $4\frac{1}{2}$ cent. szerokości.



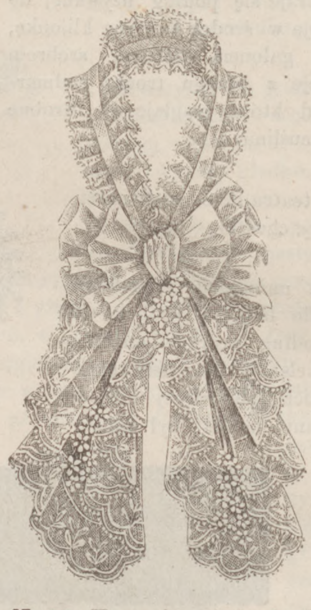
N. 21. Ubranko z barbką koronkową.



N. 19. Chusteczka siatkowa.

N. 25. Suknia z vêtement i kaftanikiem bez rękawów.

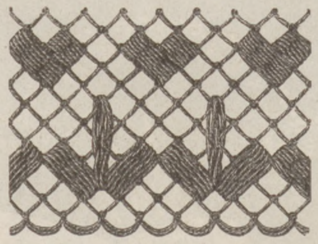
Do wełnianej sukni w dzikim kolorze dodany jest kaftaniczek bez rękawów, flanelą podszyty. Kaftanik i vêtement oszyte są kilka razy pletnią wełnianą $4\frac{1}{4}$ szeroką, w odstępach $\frac{1}{2}$ centymetra. Marszczony, wolant przy spódnicy trzyma 19 cent. szerokości; z tyłu dodane są falbany marszczone i w rurki układane, z których dolna ma $6\frac{1}{2}$, a górna $4\frac{1}{2}$ centymetra. Stanik i rozporek vêtement, 40 cent. długi, zapinany jest na guziki, do których dziurki obejmuje się atłasem, od dołu vêtement jest zeszyte. Kokardy układa się ze wstążki 6 cent. szerokiej.



N. 22. Krawatka z jedwabnej krepy.



N. 23. Wachlarz ozdobiony malowaniem i piórami.



N. 20. Szlak do chusteczki gipiurowej ryc. 19.



N. 24. Ubranie spacerowe.



N. 25. Ubranie wizytowe.